Cena 7 zł.

Wieś

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok III | Łódź, 28 lipca 1946 r. | Nr 29 (57)

Leon Pokora

GŁOS NA KONFERENCJĘ POKOJOWĄ

Zwycięzca daje się powodować złudzeniu, że zwyciężony wróg przestaje być groźny. Niemcy jedne nie dowierzały: postanowiły tępić pokonanych do stanu „nadprodukcji" strat przeciwnika, czego przykładem klasycznym jest eksperyment warszawski, po to, by nawet na wypadek klęski otrzymać dla siebie istotne plusy w dziejowym obrachunku. Szło im zwłaszcza o Polskę, bo rzeczywiście ona najbezpośredniej stać musi na głowie bestii. Jeżeli teraz obliczy się ogrom naszych strat i spustoszeń, a z drugiej strony weźmie się pod uwagę 300 tys. ofiar bombardowania w całych Niemczech, czyli mniej więcej ilość ofiar bestialskiego mordu Warszawy — warto się zastanowić nad przyszłą proporcją sił w Europie i naszą w nich pozycją. Nasze szanse nie poprawiły się i nadal nie możemy mieć zabezpieczenia i pewności zwycięstwa samoistnego w wypadku powtórnej agresji. Doniosły przecież sprawozdania anglosaskie, że w ich strefie okupacyjnej istnieje olbrzymi przemysł, który znalazł się tam na skutek obrabowania Europy. Zniszczenie wynosi około 30 proc. i za parę lat będzie mógł on dorównać wskaźnikom potwornej wojennej produkcji. Anglosasi zaś — jak na ironię — prawią o konieczności uprzemysłowienia Niemiec. Gad niemiecki zacznie się czołgać, by przebiegłością polityczną i łaszeniem się Zachodowi zyskać prawo na sam na sam ze słabszymi jak my przeciwnikami.

To my, nie Deutschland, narażeni byliśmy na pięć lat potwornego rabunku i wyniszczenia, to przez nasze ziemie przewalił się omal trzykrotnie moloch frontu. Wszak już w 1939 roku wyszabrowano nas doszczętnie z bogactw kulturowych i materialnych a przez nowych pięć lat miał jeszcze wróg co łupić. W spadku została ruina gospodarcza i co gorzej psychiczna. Przez wysondowanie wszystkich soków żywotnych wysuszono i źródła duchowe energii twórczej. Natomiast stoimy w obliczu wroga o masie ludnościowej, parę razy większej od pozostałej nam, przydeptanego, upokorzonego, ale zdolnego do odrodzenia. Stan materialny jak i energetyczny Rzeszy nie mógł tak zostać obniżony jak nasz i prawdopodobnie do naszego się nie zniży. Na to trzeba przecież pięciu lat najokrutniejszego systemu terrorystycznego, absolutnej niewoli i gwałtu, potrzeba krematoriów, imponujących fabryk śmierci i ghett! Tymczasem w odwecie, nawet my, najbardziej skrzywdzeni, nie jesteśmy do tego zdolni, a mówi się o łagodzeniu okupacji i rychłym jej zniesieniu! Nie usypiajmy się więc wynikiem wojennego zwycięstwa: reżim został pokonany, lecz reżim w przewidywaniu tego zakładał Majdanek, i Oświęcim, grzebał w gruzach Warszawę, Gdańsk.. Ale i to stanowi tylko jedną z wielu innych gróźb.

***

Groźnym jest również fakt natury moralnej. Mianowicie w opinii Zachodu urabia się przekonanie że nadużyte zostało prawo odwetu. Odmawia się pono Niemcom prawa do człowieczeństwa — aż taki tam terror! Tego nie przyznawało się Polakom nigdy, nawet w obliczu Majdanka. Anglosas zabronił obezwładniać rabusia. Chce go wychować. Narzuca opinię polityczną, którą mają czcić narody i państwa. Przez utrzymanie bytu politycznego zwłaszcza Prus, stwierdza szacunek dla wroga którego niemożliwością wprost fizyczną, jest zakuć i utrzymać w niewoli. Natomiast niewola wypływa z logiki tak rozwijającego się „dalszego ciągu", gdy idzie na przykład o Polskę. Gdy naród do cna wykrwawiony i przez to jakby pobity nie zabezpiecza się a przeciwnie stawia w obliczu prawa miłosierdzia i przebaczenia. W ten sposób słabszemu wyznacza się metodę odwrotną do założenia obrony, wytrąca mu się prawo samodzielności.

Bo zamiast zabezpieczyć słabszego przed rabusiem i uchronić przed metodą wolnego prawa „ausrotten", daje się zezwolenie na odwet dopiero co pokonanemu najeźdźcy. Skazuje się więc z góry, narody mniejsze i bardziej etyczne na pozycje pobijanych, na pozycje przyszłych niewolników. Po doświadczeniu pięciu lat powtórzenie błędów Wersalu nie może w opinii światowej przejść bez protestu. Znamy tę koncepcję: żyjcie z nadzieją, że na wypadek nowej wojny **Anglia was obroni, a Niemcy znów was nie zdążą wyrżnąć!** Pięknie dziękujemy. W tym świetle mocniejszą jest nasza racja sojuszu z Sowietami i konieczność uzgodnień w obliczu przewidywanego „najgorszego", bo tylko tą drogą idzie się ku przewidzianemu „najlepszemu.

Trzeba rzec twardo: „Uzgodnień tych nie stawia się dziś kosztem naszym. Dlaczego? Bo stawiać się je musi w interesie obu narodów słowiańskich wyłącznie kosztem Niemiec. Nie przypadek a ścisła logika nakazuje Sowietom pchać Polskę na zachód, przerzucać cały potencjał ludnościowy mniejszości polskich ze wschodu na prapolskie i prasłowiańskie dziedziny. Polityka Dnieprų toż to tylko polityka zwycięstwa Rzeszy i raczej Niemiec mógł ten dziwoląg wysmażyć. Polityka słowiańska — to Polska wkraczająca na ziemie prasłowiańskie, jako taran rozbijający i paraliżujący potwora na wieki.

***

Rzeź Połabii, wymazana z opinii i kodeksów świata, ona ciąży na szali sprawiedliwości dziejowej. Wyrżnięcie owych plemion zadecydowało mimochcąc o kształtowaniu się dzisiejszości. Rozrosłe i zbogacone łupem Niemcy stały się odtąd jakby usankcjonowane w swym szowiniźmie i polityce mordu. Wtedy to ta idea „ausrotten" w stosunku do kultury, w stosunku do innych społeczeństw zyskuje pozycję ugruntowaną. Narost rakowaty na duszy niemieckiej zostaje pielęgnowany odtąd podobnie jak się to spotyka u żebraków żyjących z różnych deformacji fizycznych. Hitler to tylko symptom, „wyzwolenie" — jakby rzekł Freud — chorobliwego kompleksu nacjonalnego, jaki trawił przez wieki naród niemiecki. Ale stokroć groźniejszy jest dla Polski mit początku: okres Ottonów, Hanzy i Krzyżactwa, gdzie **nie naga dusza nordycka,** ale ukazało się „Święte Cesarstwo" i „Krzyż". Za nimi prządł nici wytrwale pająk, który dopiero czując ofiarę w mackach ukazywał nam jednakie zawsze w przebiegu dziejów oblicze prawdy.

Świat jednak dawał się uwieść pozorom, patrząc z podziwem i uznaniem; owszem, pomagał nawet tłumić wariacki, „warszawski", jakbyśmy dziś rzec mogli, opór upartych, lecz skłóconych pomiędzy sobą plemion słowiańskich. Nie pojął świat wagi politycznej tragedii nadłabskiej; dając się uwieść zakłamaniu etycznemu zadecydował w ogóle o losie międzynarodowej etyki europejskiej.

Rzeź Połabii to było pierwsze w nowożytnej Europie wielkie biologiczne wydarzenie. Używamy celowo określeń takich, jak „rak", jak „narośl", jak „deformacja fizyczna". Wszystko to bowiem miało w tej właśnie postaci miejsce już w chrześcijańskiej, średniowiecznej i feudalnej Europie.

Usankcjonowane zostało doświadczenie niesłychanych rozmiarów. Doświadczenie, którego treścią było **odejście od kultury,** rozerwanie jej cennych tkanek. Pod powierzchnią czekał smak krwi, smak samej materii biologicznej, dany do zaznania nie pojedyńczym ludziom ale **całemu narodowi.** Cały naród pogrążył się w sensacji **wżerania się** w organizmy biologiczne innych narodów.

Stoimy jak najdalej od wiary w „rasizm", od wiary w dzieje, w których się manifestuje biologiczna istota narodów. Ale przykład rzezi Połabii pokazuje, że pewien stan zwyrodnienia biologicznego (na skalę międzynarodową) może zostać utrwalony jako **tradycja kulturalna.** I historia Niemiec, to ustawiczne nawiązywanie do tej właśnie tradycji: **stwarzania narośli rakowych.**

Do tradycji **biologicznego wdzierania się w cudze organizmy narodowe i biologicznego ich niszczenia.**

Przed nami stoi wobec tego pytanie: czy zostawić „ziemie niemieckie" przy Rzeszy z całą siłą osiemdziesięcio-milionowego organizmu? (o ileż w takiej masie wzmacnia się instynkt pożerania?)

Ale wówczas nie łudźmy się: sto i tysiąc lat będzie się wlec „połabski" kompleks. Wynaturzony typ germański, wynaturzone w nim człowieczeństwo nie będzie miało powodów do porzucenia wyżłobionych dotąd kolein tradycji „wielkiej przeszłości niemieckiej".

Małe próby z naszej strony, małe zagrożenie wzmocnią tylko przywiązanie, wzmocnią kulturalną łączność z tradycją. I już nie raz mogliśmy w historii Niemiec obserwować jak podobne sytuacje mobilizowały rzutkość niemiecką do odwleczenia rozstrzygnięć, do osłabienia skutków przegranej. Tak to problem bandytyzmu nordyckiego, raczej podsycany, odżywał w nowych postaciach i wydawać mógł owoce coraz to silniejszego wynaturzenia.

Wydaje się nam, że „Uebermensch" w teorii, a w praktyce sadysta - gestapowiec wymagają innego załatwienia.

Nie o akt zemsty idzie, ale o przywrócenie **równowagi kulturalnej w Europie.** Gdybyśmy tylko treść dziejów kultury europejskiej zamknęli w osiągnięciach cywilizacyjnych, jużby one wystarczyły jako dowód **konstrukcyjnego charakteru** kultury europejskiej. Niemieckie wybuchy grożą zatem nie poszczególnym elementom kultury europejskiej ale **samemu jej istnieniu.**

Mamy zatem prawo postąpić wobec Niemiec, jak to czyni lekarz wobec ogarniętego wścieklizną. To znaczy leczyć chorobę w pierwszym rzędzie w jej strefie biologicznej. Narody „ekspansywne" **oczyścić może** z nadmiaru zwierzęcości i z siły rzutu, który miażdży, który ściera biologiczną podstawę atakowanych — tylko zastosowana wobec nich **przemyślana niewola.** W takim stopniu i w takiej formie, aby długotrwały brak warunków do wierności tradycji najeźdźczej, doprowadził do zamienienia tej antykulturalnej tradycji przez tradycję **konstruktywną,** zgodną z podstawowymi wymaganiami współczesnej Europy.

Przed 29 lipca

29 lipca rozpoczyna się w Paryżu konferencja pokojowa.

Konferencja ta ma zadecydować ostatecznie o ukształtowaniu się stosunków w Europie powojennej. Ma ona zadecydować o losach milionów ludzi na długi okres czasu, a przede wszystkim ma zadecydować czy nowy pokój, okupiony rzezią wojenną, jakiej nie znała jeszcze historia ludzkości, będzie trwalszy niż pokój stworzony przez traktat wersalski.

Jest wiele sił, które działają na rzecz pokoju. Na pierwszym miejscu należy tu wymienić jednolite stanowisko świata pracy, który zdecydowanie domaga się likwidacji resztek faszyzmu, uzgodnienia polityki Anglii, Stanów Zjednoczonych i ZSRR, zabezpieczenia znośnych warunków bytu i minimum wolności ludziom wszystkich narodów i ras. Na rzecz pokoju działa i uczucie znużenia wojną, i potrzeba odbudowy gospodarczej, i nawet obawa polityków przed utraceniem popularności, gdyby postawili swoje narody wobec niebezpieczeństwa nowego kryzysu militarnego.

Ale jednocześnie działają siły, które utrudniają realizację pokoju długotrwałego, gwarantującego bezpieczeństwo i sprawiedliwość dla wszystkich narodów ziemi. Oto np. w sprawie Triestu zapada decyzja stworzenia nowego Gdańska wolnego miasta, które łatwo stać się może przyczyną niesnasek pomiędzy Włochami i Jugosławią. Oto Anglia zgadza się na wycofanie wojsk z Egiptu, ale pragnie opanować dawne kolonie włoskie w północnej Afryce, usadawia się mocno w Transjordanii, obdarzając ją bardzo wątpliwą „niepodległością", stara się utrwalić swoje wpływy w Grecji. Oto słyszy się w krajach anglosaskich głosy kwestionujące nasze prawa do Ziem Odzyskanych, zwłaszcza jeżeli chodzi o Śląsk Dolny. Tej troski o los „biednych" Niemiec nie mogą rozwiać nawet takie fakty, jak stała działalność „wilkołaków", jak wykrycie spisku, mającego na celu uwolnienie więźniów norymberskich. Wreszcie w sposób bardzo osobliwy zbiega się z datą otwarcia konferencji pokojowej (29 lipca) data drugiego eksperymentu z bombą atomową na Oceanie Spokojnym (25 lipca).

Jeżeli poza niedobitkami faszyzmu nie ma sił działających jawnie na rzecz wojny, to istnieje wiele sił działających na rzecz pokoju skleconego bez zrozumienia powagi obecnej sytuacji, pokoju, który miałby tylko zabezpieczyć interesy wielkich mocarstw. W tym leży największe niebezpieczeństwo nieudania się konferencji. Nieudany pokój byłby równoznaczny z przegraną wojną.

Najbliższe tygodnie przyniosą niewątpliwie wydarzenia o historycznym znaczeniu. Jakiekolwiek jednak tendencje ujawnią się na konferencji, pewne jest jedno: przedstawiciele narodu polskiego w Paryżu walczyć będą: 1) o niedopuszczenie do podziału Europy na dwa zwalczające się wzajemnie bloki, 2) przeciw wszelkim decyzjom ułatwiającym odbudowę politycznej i militarnej potęgi Niemiec, 3) przeciw wszelkim próbom rozbicia solidarności narodów słowiańskich, 4) o bezwzględne uznanie granicy polsko-niemieckiej na Odrze i Nissie, 5) o sprawiedliwe i słuszne politycznie decyzje w sprawie losów bratniego narodu łużyckiego.

Są to zagadnienia, których waga wiadoma jest każdemu Polakowi i co do których nie może być między nami żadnych sporów.

s. l.

Włodzimierz Olszewski

IDĄ DZIEWCZYNY

Idą sznureczkiem, idą dziewczyny,
Jagny i Kaśki i Maryny,
Wandy, Urszule i Elżbiety –
Po piasku, boso, pod bagnetem.

Patrzę i myślę o tym: ciżba, zasieki, camp,
Kamienna czyjaś twarz i zaciśnięta ręka —
Ten płot kolczasty! Za nim korowód plam,
Skąd rozedrgany głos przydławił mnie
piosenką.

W szumie sosnowych pni,
w cieniu spuszczonych rzęs,
uparcie mi się śni
karabinowy chrzęst
i grzmot podkutych stóp
po bruku, armat zgrzyt,
chrobot pancernych krabów
a w górze warkot śmig...
Daleki, zblakły mit –
to ten samotny grób
pod arkadami Sztabu:
Nieznany Żołnierz śpi...
Uparcie to się śni:
i Żołnierz Tamten – sam –
i my — to wielkie nic
zadrutowane w camp,
tłumów błyszczący wzrok,
matowe, szare kaski,
tamten miarowy krok
warty na Placu Saskim;
ten dźwięk mosiężnych trąb
i łomot, trzask i świst
i poplątany kłąb
i pierwszy stamtąd list...

Idą sznureczkiem, idą panny
Wyprostowane i spokojne.
Błękitne niebo w ciszy rannej –
A przecież... przecież mamy wojnę!...

A to się ciągle śni
w cieniu spuszczonych rzęs:
jesienne złote dni
w rydwanie samoklęsk,
piosenka „Taki los...
w echu mosiężnych trąb,
ta biała wstęga szos,
zjadliwy chichot bomb
i ten szaleńczy marsz
(ostatnie pas mazura)
i hekatomba szarż,
a potem modra Bzura
i tamto miasto-krater,
a nad nim biała szmata...

Idą sznureczkiem, idą dziewczyny
Po niebie białe mkną baranki,
Na ziemi wąska nić ścieżyny –
Po piachu, w górę idą branki.

I śnię i żuję gniew.
Znów łoskot kanonady
pod Marsylianki zew
rżnie głuchą galopadą...
Wogezy, zieleń traw
i grząs flandryjskich błot
i „Oni" – braves de braves! —
i linia Maginot;
i zieje poprzez mgłę
Dijon i Metz, Verdun...
Mosty odarte z przęseł –
i rac czerwonych syk
nad Luneville, Nancy
i St. Quentin i Reims...
i robotniczy kum
nerwowy Leo Blum,
zbłąkany pośród sal
ostrożny Pierre Laval –
i gębacz, pan Reynod
mówiący poprzez nos –
i blady Gamelin,
gdy ściąga siwe brwi
współobłąkany troską –
w pluszową pada toń
fotelu-a Paris,
(gdzie zbiegli drżą żandarmi)
stąd cedząc mlo — eh – bien –
przez zęby ciska rozkaz:
soldats de la Pologne
To nic! Lecz tamten cień,
osłonią odwrót armii!
w tym lasku, pod Compiegne!

A to się ciągle śni
w cieniu wilgotnych rzęs:
to „wszystko!", albo „nic",
jak w hazardowej grze.
Ta chłodna Angleterre
w listopadowej mgle –
i jarmark na Wall Street
i dzwony z Westminsternu,
Waterloo żywy mit
na czapie grenadiera...
Górzysty, szkocki ląd –
miarowy, długi krok
na brzegu – twardy wzrok
wytęża polish ront...
Znów karabinów chrzęst —
przyjeżdża książę Kentu –
i idzie pośród gestw
milczących oczu wiernych
obcego regimentu...
A potem gest mizerny
i książę mówi: „Yes!" –
i pieśń: „Piechota szara..."
po niej chanson anglaise:
„It's a long way to Tipperary!"
A przez pagórki, przez doliny,
Pod modrym niebem, w rannym blasku,
Po szeleszczącym sucho piasku
Idą sznureczkiem, idą dziewczyny.

I znowu mi się śni
w cieniu spuszczonych rzęs
i Żołnierz Tamten — sam –
i my – to wielkie nic
zadrutowane w camp...
I karabinów stuk,
co śnieg w amarant barwi
nad cichym fiordem Narwik –
i Führer – potem Bóg...
Tamiza. Sunie w mgłę
królewska limuzyna...
I nalot na Calais,
bombowce nad Berlinem —
i wściekły contredance
myśliwców nad La Manche...
I ten daleki rejs:
Syrii skaliste brzegi,
a potem Suez, Egipt...
i generalski pejcz
wskazuje tam, na zachód,
gorący, suchy kraj
w pustynnym kędyś piachu
i do „Nich" głos: „Good by!"
i samum, który liże
współzamazane głoski
na piramidach w Gizech –
i wielki cień – Sułkowski.

Idą dziewczyny, idą panny
Wyprostowane i spokojne.
Błękitne niebo w ciszy rannej,
A przecież... przecież mamy wojnę...

Gdy trzeba tutaj gnić
Uparcie to się śni:
I tamte oczy wierne
i ta chanson anglaise,
książęce słowo „yes",
a potem Tobruk, Derna...
i ten londyński skwer
w graniu mosiężnych trąb –
w salonach woń lawendy —
i rozpalony gwer
i nowej szum legendy
i suchy śmiech Historii...
Orędzia z Waszyngtonu –
ślepo splątany kłąb
takich zawiłych ról –
a w romantycznej glorii
chłop z mazowieckich pól
i zimny syn Albionu.

O, tak! O, tak! Graj trąbko, graj!
Odżyją stare akselbanty!
Tu purytanin – tam romantyk,
Razem! Niech żyje Great Empire !

Idą sznureczkiem, idą dziewczyny
Jagny i Kaśki i Maryny,
Wandy, Urszule i Elżbiety —
Po piasku, boso, pod bagnetem.

Słońce baniaste drwiąco liże
Mój grzbiet pariasa czarny, nagi;
Sterczę, jak zakłamany, śmieszny tragik,
A one bliżej, co raz bliżej...

Co myślisz pokryjomu,
dziewczę, czy dusisz żal?
Komu to śpiewasz, komu?
Na stos, na złom, na rdzę
rzucona broń i hełm,
pocięty pas żołnierski...
Hej, dziecko, chyba spal
mój patent oficerski!

Patrzę i myślę o tym: ciżba, zasieki, camp,
Kamienna czyjaś twarz i zaciśnięta ręka –
Ten płot kolczasty! Za nim korowód plam,
Skąd rozedrgany głos przydławił mnie
piosenką.

Serca na wagę, do cholery!
Dwa palce w zęby – i jak andrus
Gwizdać w zaułki psie na odzew!
W tej ciszy dać ochryple w kobzę,
Tą pieśnią sen swój wybarłożyć
— — — — — — — —
W szeleście zwiędłych oleandrów...
Za płotem – „chłopcy malowani"...
Na drodze śpiewa chór niebożąt›
„Wojenko, wojenko! Cóżeś ty za pani?..

Gospodarka niemiecka w Polsce 1939–1944

WACŁAW JASTRZĘBOWSKI: — „Gospodarka niemiecka w Polsce 1939 — 1944". Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik"

Z najświeższych wydawnictw „czytelnikowskich" na szczególną uwagę zasługuje obszerna, bo licząca z górą 400 stron druku, książka W. Jastrzębowskiego, w której autor ze zdumiewającą spostrzegawczością i sumiennością obserwacji, dokonał wszechstronnego, można powiedzieć, rozbioru i naświetlenia zagadnień, związanych z gospodarką niemiecką w czasie okupacji.

Dzięki temu, że autor poza powoływaniem się na nieliczne prace polskie, jak prof. Wł. Grabskiego, Eug. Kwiatkowskiego oraz antyniemiecko nastawionego Romana Dmowskiego, korzysta prawie wyłącznie z materiału publicystycznego niemieckiego, z olbrzymiej literatury niemieckiej (prof dr. Heinrich Hunke. prof. dr. Edwin Fels, Herbert Backe. Alfred Oesterheld, prof. dr Horst Jecht i wielu innych) praca jego zyskuje wyjątkową ostrość i budzi niesłychane zainteresowanie, utrzymując uwagę czytelnika w niesłabnącym napięciu.

Książka pisana w latach 1941 — 1943, przeznaczona była zasadniczo dla czytelników anglosaskich, odznaczających się przysłowiowym już brakiem orientacji w sprawach państw obcych, a w szczególności Polski.

W związku z tym, że książka pierwotnie przeznaczona była dla czytelnika cudzoziemskiego, początkowe jej rozdziały, stanowiące tło do dalszych roztrząsań i wniosków, kreślą jakby zarys historyczny stosunków polsko-niemieckich, przypominając o przedwojennej kolonizacji niemieckiej, opartej u nas na tolerancji narodowościowej i gospodarczej, o chęci podporządkowania (Niemcy, Austria i Rosja carska) rozwoju gospodarczego ziem polskich interesom państw zaborczych, co w skutkach okazało się identyczne z hamowaniem naturalnych sił żywotnych. W rozdziale „Niemieckie plany organizacji Europy" autor charakteryzuje niemieckie metody planowania w wielkiej skali zagadnień dla zrealizowania idei niemieckiego „Lebensraumu" oraz koncepcji wyznaczania państwom i narodom zupełnie nowych kierunków rozwojowych celem zniszczenia ich dotychczasowych zdobyczy.

Z przesłanek ludnościowych i społecznych, ujmowanych, oczywiście, w sensie potrzeb wojennych Wielkich Niemiec, wynika m. in. potrzeba silnego rolnictwa. Istnieje popularny slogan: „Kołyski narodu stoją na wsi!".

Niezmiernie ciekawe są w rozdziale „Organizacja wsi" zapowiedzi niemieckie na przyszłość, na okres powojenny najbliższych 10-ciu lat, zapowiedzi w ramach akcji „dozbrojenia wsi" (Aufrüstung des Dorfes): z funduszu publicznego przeznaczone być miało 65 miliardów RM, z czego na polskie ziemie zachodnie przypaść miało 25 miliardów RM.

W rozdziale „Organizacja rolnictwa" (Część III) autor omawia m. in. działalność rolników powiatowych (Kreislandwirt) oraz okręgowych (Bezirklandwirt), którzy byli zarządcami przymusowymi majątków ziemskich, a których zakres pracy był wybitnie nie biurokratyczny. Objeżdżali oni teren, osobiście kontrolując stan rzeczy: w gminie opóźniającej się z dostawą kontyngentu konfiskowali inwentarz gospodarczy, zarządzali masową chłostę lub roboty przymusowe, względnie wysyłanie do obozu koncentracyjnego.

Na okres najbliższy struktura gospodarcza ziem polskich miała być zracjonalizowana przez zmniejszenie składnika będącego w nadmiarze, t.j. ludzi, a zatem przez proces niszczycielski. „Okupacyjne prawo i administracja" — pisze autor — były potwornym, zupełnie amoralnym barbarzyństwem, ujętym w formę wysoce cywilizowanego systemu."

W Części III autor omawia z kolei okupacyjne ustawodawstwo gospodarcze, które ograniczało się w Guberni Generalnej do likwidowania prawa własności, co przeprowadzone zostało w szeregu oficjalnych zarządzeń. Zlikwidowano prawo rozporządzania własnością jeszcze nieskonfiskowaną, zlikwidowano wolność pracy, zlikwidowano uprawnienia z tytułu Ubezpieczalni Społecznej, zlikwidowano samorząd, zlikwidowano możność obrony przed nadużyciami władz niemieckich. Syntezą systemu prawnego był fakt, iż obywatele polscy przestali być obywatelami, a stali się podwładnymi. „Niechże mi wolno będzie — pisze Wacław Jastrzębowski — choć na paru stronicach tej obszernej książki nie ukrywać mych nastawień emocjonalnych, spojrzeć okiem żywego człowieka na ten „system administracyjny", który wymaga wymordowania przeciętnie około dwu i pół tysiąca ludzi dziennie, na ten „system prawny", wobec którego kiplingowskie prawo dżungli jest kulturalną sielanką.

Plączą się i zazębiają słowo system i słowo zbrodnia. Okupacja niemiecka była jednym i drugim jednocześnie.. Na rogu ulicy warszawskiej stoi czyściutki policjant niemiecki, z uśmiechem i sprawnie regulujący ruch — ale nie trzeba czekać długo, aby zobaczyć, jak uderzeniem w twarz okrwawi przechodnia, który nie dość skwapliwie wykonał jego rozkaz: to była jego czynność urzędowa stróża bezpieczeństwa publicznego, a nie wybryk awanturnika. Do biur przychodzą rano urzędnicy, może tylko trochę chudsi i bledsi niż w miastach całego świata — i dzielą się informacjami, gdzie i kogo porwano nocą z domu: czy w tramwajach była „łapanka". czy potwierdza się, że wczoraj rozstrzelano kilkuset ludzi. Mówiło się o tym tak, jak jednocześnie w Londynie czy w N. Jorku mówiło się o pogodzie, bo to były rzeczy normalne. Już zobojętniałe — to był system".

W rozdziale ‚System prawny i administracyjny" ciekawe są ustępy o tym, jak okupacyjne prawo niemieckie świadomie stwarzało obraz radykalnie odmienny od rzeczywistości — jako klasyczny przykład podaje autor ustawy konfiskacyjne. Intencją prawodawcy niemieckiego było, aby ustawy te sprawiały wrażenie, iż prawo własności naruszone było jedynie w okolicznościach wyjątkowych, podczas gdy w powołaniu się na tę właśnie ustawę odbywał się legalny rabunek wszelkiego mienia polskiego. W powołaniu się na odpowiednią ustawę odbywała się codziennie, z godziny na godzinę, zbrodnia niemiecka zazębiająca się bezustannie ze słowem system. —

W każdym kraju i ustroju — pisze autor — zdarzają się wypadki nadużycia władzy, brutalności i nieuczciwości funkcjonariuszy, nierówności praw. Ale w kraju okupowanym przez Niemców to nie były wypadki, ani nadużycia. To właśnie był system. To nie jest brutalny wybryk jednostki, to nie jest przestępstwo, to są solidnie, z niemiecką spokojną precyzją wykonywane normalne czynności administracyjne, a wykonawcy są dzielnymi obywatelami, dobrymi ojcami rodzin, a nie żadnymi typami patalogicznymi. Patalogiczny jest system i naród, który go stworzył".

Dziś, kiedy uprzytomniamy sobie aż nadto wyraźnie, że wszystko się zmienia na świecie, że wczorajszy wyraz postępu jest dzisiaj programem zacofania, że oto biec musimy w pościgu za śladem uciekającej historii, kiedy uprzytamniamy sobie, że Niemiec żyje dzisiaj jedynie nadzieją odwetu, a za warunek równowagi imperialistycznej, polityka angielska uważa Niemcy uzbrojone — uświadomienie sobie dążeń, błędów i przyczyn klęski niemieckiej może dać niewątpliwą korzyść tym, którzy tworzą koncepcję niezależności państwowej w oparciu o Ziemie Odzyskane. Cenna praca W. Jastrzębowskiego, której dokonał dzięki pomocy w zebraniu olbrzymiego materiału kilkudziesięciu osób, czynnych w życiu podziemnej Warszawy, powinna czym prędzej znaleźć się w ręku polskiej publiczności.

Wanda Brzeska.

Maryla Swojska

NASZE DWORY

Najczęściej było to rozległe wzgórze nad rzeką okutane w gęste kłeby zieleni, z pomiedzy której wyzerkała plama bieli szczytu, szary komin lub skrawek czerwieni dachu — dwór. Świat daleki, tajemniczy, niedostępny. Po wyżwirowanych alejach, pod baldachimem sklepionych gałęzi grabów spacerowały młode, ładnie ubrane osoby. Przed ganek z kolumnami zajeżdżały w czas imienin, wesel lub polowań lśniace karety zaprzeżone w cugowe ogniste konie. Potem długo w noc okna jarzyły się rzęsistym światłem. dolatywały dźwięki fortepianu. Po ukwieconych klombach spały lub wałęsały się wrzaskliwe pokojowe psy.

Jeśli było spojrzeć szpara niedomkniętych drzwi w głąb pokojów, „kiedy państwa nie było w domu" — na lśniacej podłodze stały meble o pałakowatych nogach pokryte nienazwanego gatunku materia. Coś odpychało i ciagnęło, wieziło i kusiło. Jakaś obcość i tajemniczość, odległość i niecodzienność.

Po drugiej stronie rzeczki stały cztery lub trzy wielorodzinne baraki o drzwiach na wszystkie strony świata, izby o jednym oknie ze wspólnej sieni, gdzie w zagródkach chrząkają świnie, a na zagródkach gdacza kury — domy służby, dworskie koszary, czworaki. W zielonych kałużach gnojówek stojących przed budynkami pławią się stada fikających kaczek. Gromada dzieci z wszawica we włosach bawi sie w piasku na drodze szczątkami skorupek z potłuczonych filiżanek ze dworu.

Są to dwa odrebne, dalekie światy: polak i „polak".

Drukowana przez nas praca Maryli Swojskiej demaskuje wartość wewnetrzną dworu, odbiera mu ów nimbus tajemniczości, blasku i niezwykłości. Dwór widziany oczyma rzadcy, wiec niejakoby od wewnatrz ma zupełnie inne oblicze. Obliczom tym poświecone jest opowiadanie Maryli Swojskiej „Nasze dwory". (t. g.)

Był koniec kwietnia 1930 roku, kiedy po czułym pożegnaniu z matką, wielu łzach i błogosławieństwie znakiem krzyża, opuściłam dom rodzicielski — zaczynając nowe nieznane jutro u boku męża.

Żółty myśliwski powozik, zaprzężony w dwa dzielne rumaki, pędził polnymi drogami, uwożąc mnie coraz dalej od ukochanych rodziców.

Siedziałam smutna i zamyślona, błądząc mokrymi od łez oczami po zazielenionych polach...

Od wczoraj zostałam żoną rządcy majątku Trzcinowo pod Grójcem i jechałam właśnie do nowego domu.

Właściwie powinnam być uszczęśliwiona, jak wszystkie młode mężatki, ale ja, niestety — zamiast się uśmiechać płakałam cicho.

Nie spełniły się przecież moje marzenia — wyszłam za mąż bez miłości. Wydano mnie dla kariery.

Całkiem poważnie zabrałam się do urządzenia własnego domu, a że wiele doświadczenia miałam w tym względzie, to też z piorunującą szybkością mieszkanie moje zostało umeblowane.

Potem zaczęły się inne, gospodarskie kłopoty z prowadzeniem kuchni. Miałam wprawdzie wiejską służącą w postaci Mańki, gamonia, która umiała jedynie doić krowy, karmić świnie i wychodzić oknem na wieczorne gruchania.

Gotowanie, jak gotowanie, pół biedy jeszcze, z pieczeniem chleba było gorzej.

Z przyniesionego od mamy z wesela ćwiartka tylko została.

Naturalnie, że sklepu w majątku nie było, ale za to w naszej śpiżarni stały pękate wory mąki na moje usługi. Przypomniałam sobie, jak mi mama mówiła, że w majątku samej chleb wypiekać trzeba.

Po raz pierwszy bardzo żałowałam, że w domu nic robić nie chciałam, chociaż mama zachęcała i naganiała mnie zawsze do zajęć gospodarskich. Nie lubiłam tej bezmyślnej roboty, jak mi się wtedy zdawało.

Jak zbawienie, chwyciłam książkę kucharską: „mąka na zakwaszenie lub z drożdżami, smaczniejszy na syrowatce — sól, piec przeszło półtorej godziny w dobrze wypalonym piecu" — studiowałam uważnie. Nic znów takiego trudnego, wydęłam pogardliwie usta.

Zaraz też posłałam Mańkę do spółdzielni po drożdże, a na drugi dzień około południa wyjęłam z pieca śliczne, rumiane, udane bochenki.

Wiodło mi się jakoś i kiedy po miesiącu odwiedzili nas rodzice, czułam się już naprawdę panią domu.

Było skwarne lipcowe popołudnie, kiedy przed ganek dworskiej kancelarii zajechał odkryty duży samochód.

Nagle — jak na komendę w całym podwórzu służba dworska ze zdwojoną szybkością wykonywała swoją pracę, powtarzając jeden drugiemu:

— Przyjechał dziedzic!

Pierwszy to raz za mojej bytności w Trzcinowie miałam zaszczyt oglądać magnata. Bowiem dziedzic Trzcinowa był najbogatszym obywatelem w powiecie grójeckim. Słyszałam już coś niecoś o jego fortunie od służby dworskiej. Trzy majątki z folwarkami, gorzelniami i krochmalnią miał ten wszechwładny pan.

Stanęłam w stołowym za gęstą firanką, by się przyjrzeć bogatemu człowiekowi. Wstyd mi się przyznać, ale takich wielkich panów widziałam jedynie na filmach.

Nim ujrzałam wyniosłą postać pana dziedzica, wpierw zadziwił mnie ruch na podwórku.

Nigdy jeszcze z taką mocą nie uderzał kowal w kowadło jak właśnie wtedy, a znowu stelmach tak ochoczo wywijał heblami, aż wióry podskakiwały. Śmieszna mi się wydała ta komedia ludzka, ale chyba już najśmieszniej wyglądał młody pisarz, który latał z pękiem kluczy po pomoście śpichrza i trąbił w ucho staremu ekonomowi:

— Ruszajcie mi stąd zaraz! Może pan dziedzic będzie was potrzebował, a wy się tutaj jak ból po kościach kręcicie!

Ale staremu ekonomowi nie było widać pilno, bo splunął jeszcze coś ze trzy razy, wysmarkał nos i spojrzał spod okna na młodego pisarza.

— No! czego się gapicie? ruszajcie!!! — wrzasnął poddenerwowany pisarz.

— Adyć idę — zamamrotał ekonom i podreptał w stronę stojącego samochodu. Na kilka już kroków przed dziedzicem zaczął bić czapką pokłony przestępując niecierpliwie z nogi na nogę.



rys. St. Cieloch

— Prędzej! — kiwnął ręką pan dziedzic — zawołać tam rządcę!

W pierwszej chwili nie zrozumiał ekonom rozkazu i rozdziawił usta.

— Gdzie rządca pytam, gdzie?!

Ryczała już teraz, a nie pytała osobistość z samochodu.

Ekonom miął czapkę w ręku i zaczął bąkać nieśmiało:

— Proszę jaśnie pana dziedzica wielmożnego, rzundcy w podwórzu teraz nie beło, pewnikiem w polu.

— Dureń jesteś!!! Byłem w polu i przy stertach, a jego tam nie ma — zdenerwował się „jaśnie wielmożny".

Ano jak dureń to dureń, nic też dziwnego, że zapomniał języka w gębie i stał przewalając ślepiami. Trzymaną czapkę miął coraz mocniej w rękach i dreptał w miejscu jak na uwięzi.

Pan dziedzic odwrócił się od ekonoma i patrząc w moje okna wykrzyknął na całe gardło:

— Jest tam kto?!

Do tego rodzaju pytań nie byłam przyzwyczajona i dlatego nie czułam się w obowiązku udzielić odpowiedzi. Jaśnie pan wpadł widocznie w wielkopańską wściekłość, bo krzyczał coraz głośniej:

— Gdzie on jest do pioruna? poszukać mi go zaraz!

Coraz lepiej — szepnęłam przez zaciśnięte zęby i z trzaskiem zamknęłam okno. Nie miałam przyjemności wysłuchiwać dłużej jaśnie oświeconego chamstwa!

— Tam ktoś jest? — wskazał na moje okna i wlepił jak dwa sztylety oczy w ekonoma.

Tym razem chłopisko przemówiło:

— Pewnikiem żuna rządcy.

— Psiakrew! — zaklął dziedzic, a zwracając się do szofera ryknął jeszcze głośniej:

— Jazda!!!

Dawno już umilkł warkot motoru, służba znowu się leniwie wałęsać zaczęła, a ja wciąż stałam w oknie rozmyślając nad tym wszystkim, co widziałam i słyszałam.

— Więc to tak wyglądają nasi wielcy panowie? — Zupełnie inaczej wyobrażałam sobie chlebodawcę swojego męża.

Sobota — od samego rana byłam roześmiana, wesoła. Przyjechała dziś moja kuzynka z Warszawy. Byłyśmy obie w jednakowym wieku, razem chodziłyśmy do gimnazjum, razem spędzałyśmy krótki okres mojego panieństwa. Łączyło nas wiele miłych, często śmiesznych wspomnień. Bardzo lubiłam dystyngowaną Stasieńkę, chociaż ona nazywała mnie gęsią przeważnie.

Stasieńka nie lubiła wsi.

Na szczęście wybawił mnie z kłopotu mój małżonek. Zaproponował Stasieńce spacery linijką. Kuzynce propozycja przypadła jakoś do gustu, bo się bardzo ucieszyła. Każdego dnia po południu powtarzał się taki spacer linijką w pole. Właściwie był to zwykły codzienny objazd rządcowski, ale nazwaliśmy go spacerem, żeby Stasieńce było przyjemniej.

Raptem! pewnego popołudnia przybiega do mnie Stasia czerwona jak burak.

— Co się stało? — pytam zaniepokojona — gdzie jest Janek, czemuś taka zmęczona?

— Ach! moja droga — machnęła ręką kuzynka i usiadła na tapczanie. Ten wasz dziedzic to zdecydowany wariat, wyobraź sobie, że ledwo zajechaliśmy do stert, a Janek coś tam konferował z karbowym. aż tu warkot samochodu i zjawił się pan dziedzic.

Z miejsca wpada na rządcę:

— Zamiast pilnować roboty pan obwozi panienki po polach, żebym czegoś podobnego nie widział więcej.

Janek zaczął przepraszać, że to kuzynka żony, zełgał nawet, że studiuje agronomię i interesuje się rolnictwem, ale pan dziedzic nie chciał słuchać.

— Nic mnie nie obchodzi, co pana kuzynka studiuje, zabraniam stanowczo obwozić kobiety po polu w czasie roboty.

— Co miałam robić? Oczywiście, że zeszłam z linijki i zostawiłam Janka z tym kretynem. Pomyśl Krysiu, co za wychowanie u takich panów. — „Żebym więcej czegoś podobnego na polu nie widział". Nie zapomnę tego do śmierci, przecież to wyraźnie tyczyło się do mnie: „Czegoś podobnego", proszę, proszę, jakie lekceważenie.

— Rozumiem Stasiu twoje oburzenie, bardzo żałuję, że cię nie uprzedziłam, to wielki dziwak ten nasz dziedzic, już wielu ludziom dokuczył swoim zachowaniem. Masz najlepszy dowód, że szata zewnętrzna nie zdobi człowieka.

— — — — — — — — —

Przez cały tydzień trwała moja wizyta w Warszawie. Odwiedziłam całą matki i ojca rodzinę, a wszyscy się zachwycali moją postrzyżoną czupryną, którą tak pięknie zafryzowano mi w salonie „Polonia".

Wróciłam do Trzcinowa całkiem już podobna na panią rządczynię. Musiałam wyglądać poważnie, elegancko i bogato, bo nawet pani gorzelana niedawno przybyła do Trzcinowa zauważyła także:

— Państwu się pewnie świetnie powodzi —powitała mnie uśmiechem,— wyjeżdża sobie pani do Warszawy po sprawunki i do fryzjera tak widzę? Coś tam grzecznego odpowiedziałam, ale nie wdawałam się z panią gorzelaną w dłuższą pogawędkę. Nie lubiłam jej fałszywego szczebiotu, zresztą wyrobiłam sobie zdanie, co do tej pani. Zawsze słodko uśmiechnięta, narzekająca, że ciężko i na nic jej nie wystarcza. Kłamała obrzydliwie. Było ich też tylko dwoje, a warunki mieli lepsze od nas. Przy tym kradli bezwstydnie.

Stale worki z kartoflami i węglem wędrowały na plecach Frani z gorzelni do kuchni. Doskonale widziałam to wszystko i dlatego nienawidziłam szczebiocącej pani gorzelanej.

Znajomość nasza ograniczała się tylko do towarzyskiej grzeczności. Dzień dobry pani i dowidzenia.

Mąż mój gniewał się czasem na mnie, że właśnie powinnam tak jak ludzie uśmiechać się do tych nawet którzy mi się wcale nie podobają. Że to jest sztuka życia. Ja jednak wolałam się do takiej obłudy nie przyzwyczajać. Wolałam żyć sama, niż być uprzejma dla pospolitych złodziei, którzy kradli nikczemnie i jeszcze udawali niwiniątka. Taki pan gorzelany najniewinniej jeździł sobie co tydzień do dziedzica z raportem i ploteczkami na rządcę, bo przecież już tak jest na świecie, że w każdym dworze wierny pies żyć musi... To, że sam kradł dziedzica to głupstwo, grunt, że umiał innych pilnować i w porę o wszystkim meldować jaśnie panu.

Brzydziłam się takimi ludźmi... Nic dziwnego, że klasa robotnicza nazywała pracowników dworskich „sługusami pańskimi". Taki jak nasz gorzelany i wielu jemu podobnych warci byli tego tytułu. Taki mógł się lata całe wysługiwać u jaśnie panów dziedziców, takiemu wierzono choć był złodziejem.

Minęło kilka miesięcy, na folwarku coraz częściej i więcej plotkowano na rządcę. Pan gorzelany przy lada okazji buntował chłopów, że rządca za wiele pilnuje.

— Prowde goda — mawiali fornale — drapiąc się palcem w głowę — wierny to on tam jest, przy takim to se nie weźmiesz.

— Dobry chłop — bronił mojego męża najstarszy woźnica — pilnuje porzudku, bo byśta cały majutek roznieśli. Gorzelany wam podgaduje, bo go rządca złapał jak z dziewuchą węgiel z gorzelni wynosił, a wy mu wierzyta, że was tak miłuje.

— Miłuje, nie miłuje — mamrotali fornale—ale taki jak grzelany to se pana weźmie i nas pilnować nie bedzie.

Z pogawędek służby dworskiej, o których doniosła mi moja Józia, mogłam się domyśleć, że kopią dołki pod moim mężem, ale czyż mogłam przypuszczać, żeby gadanie takie mogło naprawdę zaszkodzić?

— Dlaczego dziedzic miałby Janka zwolnić? — pytałam samej sprawiedliwości. Był dobrym, pracowitym rolnikiem oddany duszą i ciałem gospodarstwu, czyż można jeszcze czegoś wymagać od rządcy?

— Stracić posadę teraz — drżałam na samą myśl podobnej możliwości. Ale los ten nie oszczędza nikogo, musiałam przeżyć morze przykrości, bo takie było moje przeznaczenie. Zaczęło się od wizyty u pana dziedzica. Mąż mój co dwa tygodnie jeździł z raportami do „klucza", gdzie u jaśnie pana zbierała się cała administracja. Wizyta taka jak zwykle zaczynała się od długiego wyczekiwania w ogólnej poczekalni. Tym razem rządca z Trzcinowa został przyjęty ostatni. Zmęczony kilkunastokilometrową podróżą zza Mogielnicy pod Grójec, siedział i czekał cierpliwie swojej kolejki.

Było już koło północy, kiedy stary lokaj w liberii oznajmił leniwym głosem:

— Jaśnie pan dziedzic prosi!

Mąż mój zerwał się z wygodnego fotela, gdzie zdrzemnął się chwilę.

— Pan dziedzic czeka — powtórzył energicznie stary lokaj i spojrzał z niezadowoleniem na rządcę z Trzcinowa, że sobie w fotelu na drzemkę pozwolił.

Poszli dębowymi schodami, wysłanymi sznurkowym dywanem na górę. Sługus otworzył drzwi gabinetu. Pan dziedzic siedział za wielkim stylowym biurkiem, a groźne jego oblicze w świetle lampy wyglądało odstraszająco.

W pewnej chwili pan dziedzic sięgnął po papierośnicę, wyjął z niej dwa papierosy.

— Pali pan? — zapytał nie patrząc wcale w stronę rządcy.

— Owszem — padła odpowiedź.

Dziedzic włożył jednego do ust, a drugiego rzucił na drugą stronę biurka.

— Dziękuję — odrzekł rządca i wyjął z własnej papierośnicy swojego papierosa, a potem usłużył jaśnie panu zapaloną zapałką.

Dziedzic zapalając papierosa zmarszczył groźnie czoło na takie zuchwalstwo.

— Acha — więc skończyliśmy itd. — zaczął znowu swoim lodowatym rozkazującym głosem. Zaciągnął się papierosem i raczył spojrzeć na rządcę.

— Coraz częściej mam o panu same niepochlebne wiadomości: donoszą mi z Trzcinowa, że prowadzi pan wystawne życie, rozjeżdża się końmi, a gospodarstwo na tym cierpi.

— Panie dziedzicu, to kłamstwo — oburzył się rządca — konie biorę tylko dwa razy w miesiącu, tak jak było w umowie, a

co do gospodarstwa, to sam pan dziedzic chwalił, że wszystko w Trzcinowie jest w porządku.

— Możliwe, możliwe, ale to nie zmieni mego postanowienia, że od pierwszego kwietnia jest pan wolny.

— Panie dziedzicu! W kwietniu moja żona spodziewa się porodu, przeprowadzka w tym miesiącu to katastrofa dla mnie.



rys. Stanisław Cieloch

— Nic mnie nie obchodzą pana sprawy rodzinne, jest dopiero styczeń, ma pan dużo czasu do szukania sobie nowej posady.

— Ależ panie dziedzicu, chciałbym wiedzieć za co właściwie?

Nie pozwolił dokończyć pytania.

— Jestem przemęczony, szczegółów dowie się pan od kasjera, będzie w tych dniach w Trzcinowie. Dobranoc.

Wstał zza biurka i podał łaskawie końce palców pobladłemu rządcy...

Mąż mój wrócił nad ranem do domu w grobowym nastroju.

W kilka dni później przyjechał kasjer przywożąc zwolnienie mojemu mężowi. Dowiedzieliśmy się także, że dziedzic zaprowadza oszczędności i rządca w roku przyszłym będzie w osobie gorzelanego. Że w ogóle gorzelany bardzo mu odpowiada, ponieważ ma wielkopańskie kaprysy i umie się odpowiednio zachować. Kiedy na przykład dziedzic częstował go papierosem, on ślicznie dziękował i chował go do kieszeni, by zapalić dopiero w drodze powrotnej do domu. Palenie przy panu dziedzicu było niedozwolonym zuchwalstwem.

Drugim wielkim przewinieniem było siedzenie w czasie konferencji przy panu dziedzicu.

Pan gorzelany był wytwornym dworusem, umiał dogodzić jaśnie wielmożnemu, a jeśli rozmawiał z panem dziedzicem, to stał na baczność godzinę, dwie, a nawet i trzy, jeśli zaszła tego potrzeba. Tacy dopiero mają uznanie u swoich chlebodawców, takim się wierzy, tacy są w majątku potrzebni...

Mąż mój nie umiał się płaszczyć ani poniżać, dlatego rok tylko pracował w Trzcinowie.

Jeszcze przed pierwszym kwietnia zwinęliśmy swoje manatki, a że posady rządcowskiej znaleźć Janek nie mógł, więc z całym moim dobytkiem zjechaliśmy do mamy.

Ciężkie to były dni dla mnie. Przykro mi było ogromnie, że tak nagle straciłam swój własny dom, że ledwo po roku małżeństwa wróciłam znowu na łaskawy chleb do rodziców. Przeżywałam prawdziwe katusze. Wstydziłam się ludziom pokazać na oczy. Każdy patrzył na mnie z politowaniem i pewną dozą ironii. Wiedzieli wszyscy, że rodzice wydali mnie bogato zamąż, a tu raptem znowu do mamy. Sami rodzice byli też zaskoczeni moim przykrym położeniem i czułam to dobrze, że wobec znajomych wstydzą się czegoś.

Maryla Swojska

Jan Aleksander Król

ABRAMOWSKI (III) *)

„DZIEDZINA SUMIENIA I OSOBISTEGO ŻYCA"

I dla Abramowskiego punktem wyjścia jest — człowiek.

Taki mianowicie człowiek, którego nie określa ani ustrój, ani układ panujących w nim stosunków społecznych, ani środowisko, ani system kultury, w jakim żyje. Inaczej mówiąc: jest to człowiek **społecznie nie zdeterminowany**. Jak u Rousseau: w stanie przyrodzonym, jak u Tołstoja w stanie zupełnej wolności, tak u niego „pierwiastek wieczny z samego bytu metafizycznego".

Człowiek zawsze jednak, chce, czy nie chce, żyje w jakimś ustroju, w jakimś środowisku i jego normach kulturowych. Model człowieka, jaki przedstawia Abramowski, byłby zatem **tylko postulatem**, podobnie zresztą, jak u Rousseau i Tołstoja. Z tą różnicą, że pierwszy jako sugestywny argument podawał obraz natury. Tak było. Należy wrócić do tego stanu: Tołstoj powtarza argument Rousseau, ale go uzupełnia. W dziecku jest wrodzona wolność. Wychowanie według jakichkolwiek określonych wzorów — wolność tę tłumi. Wróćmy do uroczej wolności dziecka.

Abramowski ukazuje trzeci raj utracony: **„Dziedzina sumienia, etyki indywidualnej, życia osobistego, to jest to, co stanowi prawdziwego człowieka"...**

W tym wypadku światem, do którego należałoby powrócić, dla którego należałoby się uwolnić od zależności społeczno-historycznych — **to moralność jednostkowa.** A kiedy mamy pewność, że żyjemy pełną wolnością „życia osobistego", w którym realizuje się ideał etyki indywidualnej? „Wtenczas tylko, gdy urzeczywistnienie w życiu jego treści zależy wyłącznie i jedynie ode mnie samego, od moich **własnych pojęć**, uczuć i woli, od tego, co się rozwija **samorodnie** w niedostępnym dla nikogo moim świecie wewnętrznym".

„Życie wewnętrzne" staje się w systemie Abramowskiego nie tylko sprawdzianem wolności człowieka, ale **treścią tej wolności.**

„Życie wewnętrzne" ma tu dwa określenia: moralne i psychologiczne. Wydarzenia psychiki przeciwstawia się wydarzeniom społecznym. Pierwsze są wewnętrzne i dlatego wolne, drugie zewnętrzne wyrażają się w działaniach poza psychiką i dlatego podlegają przymusowi. Z kolei moralność przeciwstawia się normom społecznym, prawom, ustrojom.

„Postępowanie jak najbardziej **użyteczne** dla zbiorowości lub najbardziej zgodne z pewną doktryną sprawiedliwości czy braterstwa, jeżeli jest wymuszone na jednostce naciskiem opinii, sugestią osobistą"... stwarza sytuację, w której „ideał wycofuje się niezbędnie z dziedziny nakazanej", ...albowiem „jest on tylko **ideałem** o ile zjawia się jako taki w duszy ludzkiej".

Inaczej mówiąc: wzory moralne spływają „z samego bytu metafizycznego", ale dlatego nie mogą wykroczyć poza życie psychiczne, ponieważ poza tą sferą panują już prawa społeczne i nawet w swej najlżejszej postaci, jak „nacisk opinii", jak „sugestia osobista" zagrażają przekształceniu się **ideału etycznego w społeczny obowiązek.**

Sytuacja „prawdziwego człowieka" we własnej charakterystyce Abramowskiego, przedstawia się tragicznie. Po prostu — nie istnieje taki człowiek. Nie istnieje, bo „swoboda sumienia" nawet, gdy jest zagwarantowana konstytucyjnie przez państwo „pozostaje ujarzmiona i podciągnięta pod jeden strychulec przez **sam fakt istnienia przymusowego regulatora** stosunków między ludźmi".

Jest to prawda. Nasze życie prywatne wypełniają treści znaczeniowe, pochodzące ze społecznych związków i takich jak państwo i takich jak „opinia publiczna", czy chociażby „sugestia osobista sąsiada", który z kolei sam działa pod wpływem wielu innych wpływów społecznych.

To powiązanie jest właśnie obrazem humanistycznej rzeczywistości ludzkiej. Innej nie ma!

Gdyby Abramowski stanął na tym stanowisku, przezwyciężyłby tym samym liberalizm. Abramowski poszedł jednak śladami Rousseau i Tołstoja. Bo co innego jest uznać, że nie ma ludzkiego przed społecznego i poza społecznego duchowego życia, a co innego walczyć z pewnymi zależnościami społecznymi na rzecz innych.

Warstwa chłopska miała moralne, na wskroś ludzkie powody, aby się wyzwolić spod władzy, gospodarczej i politycznej ziemiaństwa, jak klasa robotnicza spod ucisku kapitalistycznej organizacji produkcji, ale wcale nie miały przez to zamiaru uwalniać się **w ogóle** od zależności społecznych. Nie miały, bo to jest niemożliwością! I na pozycji gospodarza państwa również pozostaje się **w roli społecznej.** Z tą jednak **oczekiwaną** różnicą, że ta nowa rola otworzy właśnie warunki na inny typ „życia prywatnego" na inną „etykę indywidualną", niż w poprzedniej sytuacji społecznej.

Kiedy więc my byśmy powiedzieli: chcesz osiągnąć określony a upragniony wzór życia prywatnego, to działaj tak, abyś opanował wyższe strukturalnie regulatory społeczne, przekształcił je odpowiednio i przekształconych stał się mocnym sternikiem.

Abramowski mówił inaczej: Twoje życie prywatne, twoje sumienie indywidualne jest przeciwieństwem życia społecznego, jego norm i treści. Odrzuć je, porwij, jak się targa więzy, a wtedy dopiero będziesz wolny i moralny.

HISTORIA OKREŚLA TREŚĆ SUMIENIA

W ideologiach wszystkich ruchów społecznych poczesne miejsce zajmuje sprawa „moralności i praw człowieka". Co nie pozostaje wcale w sprzeczności z ich społecznym charakterem. Ruchy bowiem powstają **ze złych osobistych losów jednostek.** Każda z nich w doświadczeniu prywatnym mierzy swój osobowy wzór życiowy z wzorem osobowym innych klas: tak baba nosząca mleko do miasta, tak chłop idący na zarobek do fabryki, tak wyrostek uczący się w szkole o życiu narodu, a chociażby na miejscu pleban, ziemianin, nauczyciel, sekretarz gminny dostarczają dość porównań. Otóż ten wzór, albo jego poszczególne plastycznie uprzytamniane elementy, wyrażają nie model w konkretności swej **niepowtarzalny**, ale przeciwnie, model **typowy, powszechny** dla pewnego środowiska. Kiedy ten proces uświadomienia sobie wspólnoty losowej krzywdzonych i wspólnoty życiorysowej krzywdzących wzmocni się, rozpoczyna się społeczne działanie wyzwoleńcze. Zmierza ono do uzyskania co najmniej współudziału, nawet do odebrania dzierżącym tych wszystkich dyspozycji społecznych, od których zależał dotychczasowy ustrój, a od niego owe niewspółmierne kategorie wzorów osobowych. Walkę o władzę ruch społeczny legitymuje właśnie krytyką wzoru osobowego klas panujących i porównując z typowym wzorem ludzi z warstw, które reprezentuje, odsłania niemoralność pierwszego i niesprawiedliwość, jakiej zaznaje drugi. Ten, kto żyje drugim wzorem, **to też człowiek! —** tak brzmią hasła wszystkich ludowych ruchów — ale wyście go spodlili prawami, w których nie może być człowiekiem!

I jakkolwiek w terminologii propagandowej i programowej wyzwoleńczych ruchów społecznych występują pojęcia takie jak „człowiek", „sprawiedliwość", „równość", „wolność" itp. — figurują one zawsze w znaczeniu **historycznym.** Obejmują i zawsze współczesny sobie, określony i dlatego **ograniczony** zakres postulatów.

Wejrzyjmy dla przykładu w lata 80-te zeszłego stulecia kiedy to pisano książeczki „dla ludu" (Anczyc „Promyk", „Macierz"), kiedy ks. Stojałowski zakładał pierwszą partię chłopską i kiedy Maciej Szarek dziękując „ze łzą w oku" Kraszewskiemu za obiad („bom nie zwyczajny był takiej dobroci"), usłyszał w odpowiedzi: „tak nam nasze prawo każe: z polską szlachtą polski lud". Jakaż to wówczas była świadomość ludu? Co w swoim osobistym losie chłop cierpiał, jako rzecz wymagającą społecznego wyrównania? Ten sam Szarek, wybitny na swoje czasy chłop, utalentowany pisarz, dostarcza nam aż nadto wymownych ilustracji. Żeby się wyprosić z gościny u Kraszewskich, **całuje go po rękach**, z wdzięczności **„u jego stóp"** składa podziękowanie, wielce sobie waży, że u brata Matejki „dla mnie były drzwi nie zamknięte".

Oczywiście, że mamy tu niesłychanie ostro zarysowany problem **człowieczeństwa** chłopa. Człowieczeństwa z końca w. XIX.

Po jubileuszu Kraszewskiego Szarek pisze do Komitetu Obchodu:

„Lecz nas włościan nie puścili, żeśmy są prostacy,
Nie umiemy czytać, pisać, nie są my Polacy —
Taka u nas bratnia miłość, można ją pochwalić,
Gdzie pan to pan, ale chłopek do tego nie ma nic".

Co go boli? Że chłop uchodzi za **prostaka.** Że z tego powodu odmawia mu się takiej **godności**, jakiej zażywają ludzie powyżej jego klasy. W rozumieniu Szarka źródłem godności człowieka z górnych sfer był udział w sprawach publicznych. Szarek jeszcze nie kwestionuje polityki ziemiaństwa. Historia Polski — jaką poznawał np. z Obrazków Anczyca — raczej wzmocniła w nim respekt dla panów, dziedziców narodowych dziejów. Dlatego „niesprawiedliwość" w jego ustach to bardzo jeszcze nieśmiałe i wąskie oskarżenie:

„Wielki żal serca przejmuje nam właściaonom na wsi,
że nas w tyle zostawili starsi bracia nasi"...

„lecz porzućmy pychę, żyjmy z sobą w zgodzie". Oto wyobrażenie „równości", jakiej ambicje ma ówczesny, wyjątkowy chłop. Żyjmy w zgodzie, tzn. niech magnateria nie pogardza włościaninem i nie odosabnia go od spraw krajowych i narodowych.

W skład auto-oceny wchodzi tu jako czynnik decydujący opinia panów, przewrażliwienie na tym punkcie tłumaczy wszystkie owe dobrowolne gesty uniżenia wobec Kraszewskiego. Z serca one, z zachwytu, że iści się braterstwo klas, które podnosi w chłopie samopoczucie i ludzką godność.

To „człowieczeństwo", o którego upowszechnienie dopiero szło, wciąż jeszcze nie opuszczał patronat ziemiaństwa i dramat „dwu dusz" popańszczyźnianego chłopa.

Szarek nie stanowi odosobnionego wypadku. Jest przykładem klasycznym. Jeszcze w trzydzieści lat potem Witos występując na Sejmie Galicyjskim będzie zaczynał od zastrzeżeń, że jego mowa „pośród wywodów" tak świetnych mówców, którzy tu przemawiali, będzie wyglądać jak rozczochrana wieśniaczka przy eleganckiej miejskiej panience". Ten kompleks niższości, wyrażający i ambicje i niepewność należy do określonej epoki w dziejach Ruchu Ludowego.

„Jako włościanin pragnę **jedynie** zwrócić uwagę Wysokiego Sejmu na krzywdy i żądania tych szerokich mas ludności, których

*) Patrz początek: „Na śladach agraryzmu" („Wieś", Nr 26), „Agraryzm od strony liberalizmu" („Wieś" Nr 27—28).

Jan Marszałek

Grodzenie płotów

**Nie wystarczał cień brzozy w scharatanych wrotach.
Więc zaledwie nad krajem blask miedzianych łun
zgasł w modrooki ranek – twardy, chłopski tłum
rękami, które świst gwoździ, turkot desek omotał
odprawiał – grodzenie płotów.**

**Celebrowało im słońce, jak hostia białe
w topól zielonych ołtarzach.
Ptaki stukotem spłoszone w locie kamieniały.
A liście topól jak serca blask słońca, jak płomień sparzył.**

**A na ziemi tymczasem
ludzkie plemię głupie
wśród kłótni, gniewu, hałasu
ogradzało do reszty; kwiaty, zgodę i uśmiech.**

**Tak się sąsiad na sąsiada zawziął w swych opłotkach
że nawet „gdy noc zajdzie i pogasną zorze,
sny do rana parują im gniewem jak potem.
Pogodzić ich tylko klęska, głód lub pożar może.**

tu jesteśmy przedstawicielami"

To jeszcze nie przemawia przywódca klasy, idącej do walki. To mówi przedstawiciel włościan, dla których pańskie latyfundia są tak słusznie nienaruszalne, jak ich własne zagony, a cała rzecz w tym, aby zaistniała wymiana pomiędzy rodzajami produkcji rolnej na folwarkach i chłopskich gospodarkach. „Powinienby więc chłop z obszarnikiem się zgodzić, aby wilk był syty i owca cała. Lecz czy tak jest? Niestety, nie!".

Jesteśmy jeszcze na dziesięć lat przed momentem, kiedy raz pierwszy pada na sejmie żądanie „reformy rolnej" i pada z obozu socjalistów.

Witos wyliczą „bolączki". 1. Oświata ludowa nie nauczyła jeszcze chłopa, że jest nie tylko chłopem, ale i Polakiem, 2. Szkoły rolnicze powinny przygotować instruktorów na powiaty. 3. „babom" dać nie tyle prawo głosowania, co wykształcenie fachowe. 4. Jedyny przemysł chłopski, młynarstwo, zniszczyła regulacja rzek (młyny-pływaki). 5. Brak drzewa opałowego daje się coraz bardziej we znaki. 6. Rok rocznie wzrastają podatki i różne daniny.

Kończy się ta mowa apostrofą: „dajcie nam to, bo się nam należy. Nie róbcie z tego **serdecznego** ludu armii niezadowolonych, jeżeli wam na naszej i waszej przyszłości zależy".

Mowa ta pokazuje, jak w grze sił społecznych daleko było wówczas do równowagi. Nie ma tu jeszcze śladu chłopskiego separatyzmu. Jest lud „serdeczny", tzn. wyraźnie różniący się społeczną pozycją, ale ta różnica pochodzi z oceny klas wyższych, której lud nie neguje, pragnie jedynie w tej tradycyjnej roli optimum życiowego. Jego przywódca zdaje sobie sprawę, jak bardzo lud tkwi w orbicie sugestii dworu, jak bardzo jest „wierno-poddańczy" wobec mitu tej Polski, w której Kościuszko raczył sukmanę przywdziać. W rezultacie on sam woli, aby lud pozostał raczej „serdeczny", niż zamienił się w „armię niezadowolonych".

Kiedy przesuniemy się o nowych 30 lat przedstawiony obraz wprawdzie nie zniknął zupełnie, ale został przesłonięty, zupełnie innym. Lud przestał być „serdeczny".

Przestała mu wystarczać parlamentarna trybuna. Przekonał się, że „polityczne prawa" dla wszystkich przy zachowaniu kapitalistycznego systemu różnicowania ekonomicznego, gwarantują raczej tradycyjne nierówności społeczne. Lud stał się „armią niezadowolonych". Wszedł w okres strajków i więzień, osiągnął własną, rewolucyjną świadomość klasową. Złożyło się na to wiele przyczyn. Reforma rolna ukazała perspektywę walki klasowej. Rozwój ruchu robotniczego umocnił ją i rozszerzył. Oto istnieje świat pracy wprzągnięty w niewspółmierne technicznie systemy produkcji: rolny i przemysłowy, ale zgodne w organizacji wyzysku i chaosu produkcji. Dostrzeżenie tego mechanizmu kładzie kres dawnej naiwnej wierze o możliwości zgody, o potrzebie uznania ze strony klasy wyzyskiwaczy. Niknie wstyd „niższej warstwy". Na jego miejsce jawi się pogarda wobec krzywdzicieli, poczucie własnej wyższości, związanej z misją postępowego, sprawiedliwego przekształcenia ustroju. W ostatnich latach międzywojennych prawie w każdym piśmie ludowym można było czytać hasła formułowane w języku ekonomii: 8 milionów sił produkcyjnych „zbędnych" na wsi! — nieodwołalne przeprowadzenie **radykalnej** reformy rolnej! Formułowane w języku rewolucji społecznej: Sami sobie weźmiemy „chleb" i będziemy go dzielić nie według urodzenia „krwi", tytułów, orderów, dyplomów, stanowisk, ale według potrzeby spożycia i według wydajności pracy!

„NATURA MORALNA" NARZĘDZIEM ANARCHIZMU

Pokazaliśmy czytelnikowi, że wzór życia osobistego, że etyka indywidualna i dziedzina sumienia, które według Abramowskiego wyznaczają pojęcie „prawdziwego człowieka", że i one są **produktami historycznymi. Że ulegają** przekształceniu, że zmieniają swą zawartość, że przesuwają akcenty ważności, właśnie w zależności od tzw. „czynników społecznych". I nie tylko w tym sensie, że są zdeterminowane sytuacją ustrojową, układem sił społecznych i warunkami ekonomicznymi, ale że to, co się dzieje na tych szerszych planach dostarcza najistotniejszych treści życiu prywatnemu, bez nich nie umielibyśmy sobie w ogóle go wyobrazić. Dziedzina sumienia wypełnia się dzięki nim najżywiej poruszającymi jednostkę ideałami i wartościami.

Abramowski oponuje. Nie w znaczeniu przeczenia, że tak się właśnie rzeczy nie mają. On sam dostarcza niezliczonej ilości faktów potwierdzających, ale służą mu one podobnie jak Rousseau'owi Tołstojowi do tym głośniejszego alarmu: **tak nie powinno być!**

„Nie dlatego, że uważamy swoje ideały za bezwzględnie rozumne, doskonałe i obiecujące powszechne zbawienie, lecz dlatego, że są **nasze**, że stanowią **naszą własną naturę moralną**, która dla nas przez nic innego być zastąpiona nie może i którą przez to samo musimy bronić od zagłady".

„Gdyby nawet jeden człowiek na sto tysięcy przeżywał w duszy swojej tragiczną walkę pomiędzy sumieniem, a państwowymi wzorami życia to i to dowodziłoby już w zupełności, że państwo ujarzmia niezgodne ze sobą indywidualności moralne, że tłumi zarodki nieznanych światów społecznych, jakieby z nich wyrosnąć mogły".

Abramowski przez stworzenie koncepcji **„naszej własnej natury moralnej"** cofnął całe zagadnienie na pozycję „przyrodzoności". Ale świat przyrodzony nie jest światem kultury. Pokazała to teoria „powrotu do natury" Rousseau: że człowiek ma w niej miejsce, to tylko dlatego, że stanowi ona zredukowaną straszliwie, ale wciąż jeszcze teorię kultury. Wyciągnąć z niej ostatnie konsekwencje znaczyłoby podstawić pod pojęcie ludzi „najwyższe z kręgowych". Tołstoj proponuje nie poddawać psychiki dziecka żadnym celowym procesom wychowawczym. Kiedy byśmy założyli również nieobecność i niezorganizowanego przymusu społecznego — wówczas wyrósłby okaz biopsychiczny bez znamion, nie tylko „własnej" ale żadnej kultury. Abramowski powtarza te złudne nadzieje: „państwo tłumi **zarodki nieznanych** śwatów społecznych". Ale rzecz w tym, że podobnie „światów" społecznych" nie urodzi wyzwolona całkowicie od przymusów „natura moralna". Że ona jak każda „przyrodzoność" jest dana nam zawsze już w jakimś układzie kultury i zależności społecznych. Dlatego jej istoty nigdy nie poznamy. Pozostanie zawsze dla nas hipotezą bez wartości. Bo właśnie im bardziej byśmy redukowali związki społeczne, tym bardziej ona by nikła, im związki bogatsze, tym bogatsza jest treść moralności; tym prawdopodobniej więcej z tworzywa „natury moralnej" zostało wyprodukowanych wartości moralnych.

To co jest „nasze" nie jest już „przyrodzone", nie jest „naturą moralną", a jest w nas zespołem treści społeczno-historycznych. To co „nie może być przez nic innego w naszej naturze moralnej zastąpione" **dosłownie** w naszym świecie ludzkim nie istnieje. Istnieje natomiast w takim właśnie układzie jako fakt, jako wartość określonej w miejscu i czasie, kultury, którą to my, wychowani w niej, bronimy w sobie i świecie od zagłady, a nie „naturę moralną" lub jak w ruchach postępowych walczymy o nowy system kultury, pielęgnując w sobie wartości moralne bojowników rewolucjonistów, budowniczych nowego ładu społecznego, a nie „naturę moralną" raz na zawsze nam daną.

Człowieka średniowiecza wtworzył system feudalny. Abramowski bolałby przy tej okazji, że regulatory feudalizmu stłumiły zarodki wielu innych nieznanych światów społecznych. Rzeczywiście stłumiły, ale gdyby tak je odrzucić całkowicie, czy wówczas powstałoby życie społeczne odpowiadające „naturze moralnej" i czyby ona dała miejsce wielu innym, wszystkim innym **równocześnie** światom społecznym?

W koncepcji Abramowskiego kołacze się najbardziej fantastyczna żądza: **wszystkości w jedności**. Wyobrażenie tej wizji dać nam może w przybliżeniu kula ziemska, albo cały układ planetarny w swej początkowej fazie mgławicy, bezkształtu, który przecież już wówczas, zawierał „in nuce" te wszystkie później ukształtowane i wykończone możliwości, jakie my oglądamy i jakie znamy z paleontologii np.

No tak, ale raz jeszcze na tym przykładzie możemy demonstrować jedyną prawdę, że „natura świata" tylko na tyle nam się odsłania, na ile przemawia do nas wykształconymi formami. Bez nich — nie ma jej! Ale te wykształcone formy powstają na zasadzie wynikania następstw a więc, nie **naraz**, a w kolejności zdeterminowanej uprzednimi warunkami i przyczynami.

Dlatego kulturalny sens feudalizmu polega nie na tym, że on stłumił nieistniejące jeszcze inne formacje społeczne, nieistniejące jeszcze wzory osobowości, ale że wytworzył, że zorganizował jakiś system, jakąś osobowość, na gruzach świata starożytnego i na fali wędrówki ludów. Cała jego osobliwość nie tłumaczy się ani zgodnością z „naturą moralną", ani przeciwieństwem do niej, ale historycznymi warunkami Europy końca pierwszego tysiąclecia. A jego „błąd", jego złe strony stworzyły podstawy znów określone, znów ograniczone do korektury dziejowej, wyrażonej w wejściu na widownię mieszczaństwa, z jego możliwościami cywilizacyjno-technicznymi, z jego nową organizacją produkcji itd.

Abramowski pragnie wyegzekwować zobowiązania konstytucji liberalnej: „zachowanie **przyrodzonych** praw człowieka". Wszak nie zostały zachowane i człowiek wciąż nie ma pełni wolności, nie ma, bo struktura państwa na to nie pozwala. „Cała jego geneza i funkcjonowanie przedstawa się jako tępienie różnic indywidualnych... zastępowanie różnych prawdziwych indywidualności przez człowieka abstrakcyjnego, który myśli i postępuje według jednego społecznego wzoru... państwo, to siła przede wszystkim **upadabniania**".

Ale to nie jest specyficzna cecha państwa. To jest fundamentalna cecha ludzkiej, historycznej, społecznej rzeczywistości.

Takiej umowy, jaka została wyrażona w Deklaracji Praw Człowieka („zachowanie przyrodzonych praw człowieka") w dosłownym brzmieniu nie można brać na serio. Wyjaśnialiśmy już, że „przyrodzonych" ani praw człowieka, ani praw „natury moralnej" nie znamy. Czy prawa człowieka, które chciał uzyskać chłop polski z końcem w. XIX były to prawa przyrodzone? były to prawa godności ludzkiej, do jakiej dojrzał, jakiej mógł pożądać na tym etapie rozwoju warstwy chłopskiej; inna to oczywiście godność niż ta, po którą sięgał w ostatnich latach międzywojennych.

Abramowski powtarzając z uporem swoje, że „państwo ujarzmia niezgodne ze sobą indywidualności moralne"... żąda w konsekwencji zupełnej wolności dla każdej z nich. W rezultacie dla jednostek chciałby urządzić raj „wszystkości w jedności". Pozór takiej swobody dawało właśnie państwo liberalne. Ale tylko pozór, bo obok dobrowolnych zrzeszeń: politycznych, charytatywnych, samorządowych, spółdzielczych wyrastał rząd zrzeszeń też dobrowolnych takich, jak spółki handlowe, towarzystwa akcyjne, trusty i kartele. I w jednym i drugim szeregu realizowało się prawo jednostki do „bycia sobą", jak mówi Abramowski, do swobodnego, dobrowolnego rozwoju jej indywidualności, ale oba szeregi wyrażały nie „naturę moralną" człowieka, a tylko historyczną, ograniczoną szansę wolności jednostki. I wiadomo, że drugi szereg stał się podstawą stosunków społecznych państwa liberalnego i że te z kolei określone stosunki wytworzyły kilka klasowych wzorów osobowych.

System ustroju liberalnego, mając za fundament kapitalistyczny kartel, mieścił w sobie i jego przeciwieństwo, jego wroga: partię robotniczą, czy ludową, namiastkę samorządu, czy namiastkę uspołecznionego handlu w ruchu spółdzielczym, ale w stopniu i granicach takich aby nie mogły one pokonać panujących sił społecznych. To panujące siły dbały o utrzymanie ustroju liberalnego. To ich istnienie zrodziło jako swój negatyw partie robotnicze, czy ruch spółdzielczy. To one są rzeźbiarzem wzoru osobowego robotnika i spółdzielcy. Ale jest zasadnicza różnica pomiędzy robotnikiem a spółdzielcą. Wzór osobowy pierwszego zwraca się przeciw ustrojowi państwa **liberalnego**, wzór drugi przeciw **samej zasadzie ustroju** państwowego.

Dlatego, kiedy pierwszy przeciwstawia się liberalizmowi, drugi przedłuża go ad absurdum, do stanu anarchii.

(c. d. n.)

Jan Aleksander Król

Józef Ozga Michalski

Zakonnym koniem

**Na wiązce jęczmiennej słomy
z wozą na drodze upadła
usiadłem, jadę do domu,
jest we mnie całe pół diabła!
Nogi dwie na murawie
ślizgają się po rosie
ślad na zielonej trawie
za kosą dwie stopy bose.
Ponosi megalomania
najcudowniejsza ma dusza
stu świętych pańskich litania
tę wiązkę dziś porusza!
A wio! Szkapiny chomęta!
Moje furmańskie wargi,
w was siła jest zaklęta
wio uświęcone letargi!
Mam szkaplerz katolicki
to pewnie wam wystarczy
pięćdziesiąt procent zniżki
do każdej bożej stacji!
Ponoszą mnie przez dale
galopem pokutniki
me oczy na powale
niebieskiej sofistyki!
Uznaję – i nie uznaję!
ta jazda mi się podoba
nie jadąc jadę w kraje
nieurodzona osoba
Wio szkapy, bat podnoszę,
a skurczybyki ogniste
jechać jeżeli proszę
– albo was cisnę!
Ponarowione stoją — te konie,
stare mnichy!
Chciałyby pełną dłonią
dostać się w pełne michy!
A co uwłosiennione
choć bez ogonów i grzyw
czy mam być dla was ogonem,
że go nie macie czym krzyw?
Jazda! A hajże wiara!
Zmotały postronki i lece.
Kłębami bucha para
a szkapy stoją w rzece.
Więc przyjdzie mi się utopić
stać tu na środku rzeki
przeklęte święte popy,
brzeg każdy równo daleki!
Ale się zbiorę w siły
dopłynę, nie utonę
krew w moje wszystkie żyły
a piorun w takie konie!
Chrzest! Chrzczę człowiekiem
nagły do wody chlast!
Jak w wieko trumny ćwiekiem
swym ciałem w wodem wlazł!
Wraz wrzeszczą samobójca
rżą szkapy ślepe głupawo
niech pęknie cała trójca
ze śmiechu nad moją sprawą!
Wynurzam głowę – anioły
wnet nowoczesne bombowce
ryczą nade mną jak woły
a bomby lecą jak owce!
Ale że wygram walkę
w ostatniej swojej wierze
jak przez niebieską kalkę
na białym dzisiaj papierze
– tak będę zwyciężał was!
Dziś na jęczmiennej słomie
czytam gazetę gwiazd,
redaktor główny w Sodomie
niech wie do licha!
że z czcionek
maleńkich, nawet z ołowiu
tyle się równie dowie
co ja z nadruku gwiazd.
Ta sama równowaga
i ten sam czas!
Wio szkapy, ani rusz –
Do licha całą noc
w ręku był ostry nóż
niebieski dusił mnie koc.
Na wiązce jęczmiennej słomy
tak objechałem świat
lecz czym zajechał do domu
i czym wam brat?**

Burza ostatnia

**Zmącony mózgów ocean do dna,
ludzkich kości wapno rozpuszcza
różnice programów i zdań
wznoszą pięście, klną usta!
Już się tłum jak burza rozuzdał
prochy losów na urny wyborcze?
– Chcecie do ziemi entuzjazm?
zasiać na nim ćwierci i korce?**

**Do dna zmącony ocean
szał do głów i do krwi
to rewolucyjny pean
śpiewa ziemia wokół swoich sił.
Dolać cebrem czerwonej farby
niech mieszkańcy ujrzą Marsa
pas czerwony krwawej kokardy
tam gdzie bitwa jest najkrwawsza.
Zaśpiewamy za naszą i waszą
międzyplanetarną pieśń
żadne klęski nas nie ustraszą
bo zwycięstwa będą nas strzec!
Jak maszyna uzbrojona w zęby kół
na rozkazu rzucona dynamit
wyjdzie do walki lud
bramy piekieł zachwieje i złamie!
Jaki przeciw nam król?
Poskromiciel burz – Posejdon?
Każdy król zje z nami żur
wymieszany złotym trójzębem.
Lud prosi nas do uczty swojej
Lud jest bogiem bogów
co ich zrodził!
aż ostatnim wielkim niepokojem
sam największy spośród nich wychodzi.
Niech się niesie ta nowina słowem
i uderza we wroga czynem,
gdzie pustynie – niech burze piaskowe,
a gdzie glina, niech w człowieczą glinę.
Dzwonią młoty przy światłach pochodni
płyną rzeki ludowych wieców
aż powstaną wyklęci i głodni
ludzie pracy – na całym świecie.
A po bitwie, gdy świat się rozrusza
i po winie burżujskiej krwi
strzeli w niebo wymiot Wezuwiusza
Będzie niebo i ziemia drżyć!
W magmie wtedy zastygłej zobaczysz
Rzym, Madryt i Berlin
lecz gdyby diabli inaczej!
do muzeum poszedłby Kremlin!
Dziś się wszystkie narody chwieją
Kaukazu podparte kordylierem
że niebiosa płomienieją
ze wszystkiego to najbardziej szczere
Rewolucja ogarnia światy,
żółty, czarny, czerwony i biały!
Jak psy w budach zmilkną armaty
trup zostanie na polu chwały.
Teraz oto zaczyna się gra
biją w nas przemocy pięście
Krew jest w sercu, a w oku łza
uderzenia coraz częściej.
Wiater passat Grakch i Robespierr
dmą w najwyższy rewolucji maszt
statki wsi, okręty miast
chwycić jeno w dłonie ster.**

Stefan Lichański

O reportażu

Sytuacja reportażu w literaturze współczesnej należy do zagadnień najbardziej spornych.

Popularność tego rodzaju u czytelników niejednokrotnie wzbudza zastrzeżenia u znawców literatury. Nie należy do tego zjawiska przypisywać wyłącznie jakiejś „zawodowej" nieżyczliwości naukowców i literatów, ich niechęci do form nowych, o stanowisku literackim i kulturalnym jeszcze nieustalonym, wykazujących pewne niewątpliwe cechy barbarzyństwa w zestawieniu z rodzajami literackimi kultywowanymi już od dawna. Reportaż wchodzi do literatury „oficjalnej" — jak zresztą wiele rodzajów dziś już bardzo czcigodnych i poważanych — kuchennymi schodami: zaczyna swoją karierę od mas czytelniczych, od popularności, którą dzieli z powieścią sensacyjną i romansem brukowym. To jest jedna z przyczyn nieufności „uczonych w piśmie" do tego nowego rodzaju literackiego. Ale jest i inna, chyba nawet ważniejsza: reportaż zdaje się być formą pasożytniczą, kształtującą się na tle rozpadu rodzajów już istniejących, wykorzystującą ich elementy dla własnego rozrostu i przez to sprawiającą wrażenie tworu elektrycznego, niezdolnego do samoistnej egzystencji. Pozory uzasadnienia dla tego poglądu stwarza fakt, że reportaż próbuje zagarnąć dla siebie nader różnorodne obszary życia i wobec tego często odnosi się wrażenie, iż rodzaj ten jest wyłącznie jakąś strefą przejściową pomiędzy dziennikarstwem, popularną literaturą naukową i beletrystyką. Jest to obfitość pokrewieństw, która potrochu niepokoi i wzbudza liczne zastrzeżenia.

Jeżeli chcemy znaleźć odpowiedź na pytanie o stanowisko reportażu w literaturze, musimy przede wszystkim zapytać czym jest reportaż. Od razu jednak nasuwa się tu wątpliwość, czy sucha i choćby nawet logicznie poprawna definicja reportażu rozwiąże w danym wypadku kwestię. Nasuwa się pytanie, czy, jeżeli chodzi o rodzaj dopiero kształtujący się, ważniejsze jest znalezienie formuły umieszczającej go w takiej, czy innej rubryce terminów poetyki normatywnej czy raczej określenie **funkcji** tego nowego rodzaju w bieżącym życiu literackim. Sądzę, że ta druga droga jest w naszym wypadku odpowiedniejsza.

Zastanówmy się przede wszystkim nad przyczynami popularności reportażu. Normalne wykształcenie nie daje takiej sumy wiedzy, by przeciętny czytelnik książek i czasopism mógł uzupełniać swoją znajomość świata lekturą wydawnictw fachowych, lub też surowy materiał informacji ściśle rzeczowych mógł sam przerobić na pełny, barwny i dorzecznie zbudowany obraz interesującego go fragmentu rzeczywistości. To samo nastawienie czytelnicze, które zapewniło w okresie przedwojennym niesłychaną poczytność wydawnictwom popularno - naukowym, zapewniło też pomyślne warunki rozwoju reportażowi. Reportaż stał się tu pograniczem miedzy literaturą piękną a mniej trudnymi rodzajami literatury naukowej. Ma on zaspakajać pragnienie wiedzy ale jednocześnie czynić zadość potrzebom estetycznym odbiorcy; ma być pisany w miarę rzeczowo i naukowo, ale zarazem łatwo i ładnie. To właśnie zapotrzebowanie czytelnicze na „łatwość" i „łagodność" sprawia, że w reportażu tak często odnaleźć możemy rozbite i zniekształcone schematy literatury pięknej. Jeżeli zastanowimy się nad twórczością naszych najwybitniejszych reportażystów dwudziestolecia, to musi nas uderzyć jak wyraźnie oscyluje ku powieści reportaż np. Wańkowicza i Fiedlera, a znów ku essay'owi reportaż Ksawerego Pruszyńskiego.

A więc przede wszystkim u podstaw zainteresowania reportażem leży **głód autentyku.** Ale ten głód odczuwa czytelnik, który, zniechęcony do literatury pięknej ostatnich dziesięcioleci jej stosunkowo małą dostępnością, pragnie lektury „lekkiej". Stąd „zamówienie społeczne" na rodzaj literacki niezbyt odległy gatunkowo od gazetowego felietonu. Nie tylko jednak intelektualne lenistwo i brak wyższych potrzeb estetycznych wchodzą tu w grę. Świat staje się dla dużego procentu Europejczyków dziwny i niezrozumiały: rozwój nauki podważa wszystkie ich ustalone poglądy na rzeczywistość, procesy historycznych przemian zagrażają ich sytuacji życiowej. Stąd pragnienie dowiedzenia się o świecie jak najwięcej, pragnienie zdobycia w sposób łatwy i uproszczony wiedzy możliwie najbogatszej. A gdzieś w głębi duszy tli cichutka nadzieja, że wiedza ta uratuje dobre samopoczucie, oddali widmo niebezpieczeństw, złagodzi niepokój. Psychika zasadniczo bierna, psychika konsumenta dóbr kulturalnych chce wyśledzić sam proces stawania się rzeczywistości, żeby przynajmniej **wszystko wiedzieć.**

To jest jeden rodzaj „zamówienia społecznego" na reportaż. Ale może być i inny.

Stanisław Baczyński w swej książce „Literatura w ZSRR" zwraca uwagę na działalność grupy literackiej „Nowyj Lef", która zajęła najbardziej skrajne stanowisko w powyższej kwestii. Ci sowieccy purytanie „literatury faktu" domagali się zupełnego usunięcia z dzieła wszelkich „przestarzałych" schematów konstrukcji i kompozycji, odrzucenia psychologizmu, wykluczenia filozoficznej refleksji pochodzącej od autora. Domagali się, by zamiast „człowieka naświetlającego rzeczy pokazywać rzecz przechodzącą przez układ ludzi." Za ideał literatury nowego typu uważali oni... gazetę. Z literatury dawnej przyjmowali tylko te rodzaje, które były najbardziej zbliżone do „literatury faktu", a więc pamiętnik, biografię, opis podróży i t. p. Chodziło im o literaturę, która oddając całą prawdę życia bieżącego wprowadzałaby czytelników w jego aktualną problematykę, aktywizowałaby ich, zachęcała do działania i myślenia „właściwego.".

W przeciwieństwie do stanowiska analizowanego poprzednio mamy tu stanowisko grupy społecznej aktywnej. Tu reportaż odchyla się od literatury „czystej" nie w kierunku nabywania wiedzy, ale w kierunku publicystyki o doraźnych zadaniach praktycznych. W reportażu, który z dość zresztą poważnym uproszczeniem nazwać możemy zachodnio-europejskim, akcent pada na samo przedstawienie faktów, w sowieckim — na zorientowanie czytelnika, na zaktywizowanie jego stanowiska wobec opisywanych rzeczy i zdarzeń.

Nie wydaje się, by można było pisać się bez zastrzeżeń na teorie głoszone przez „Nowyj Lef", aczkolwiek należy uznać ich pionierski charakter i ogromną doniosłość dla dyskusji nad obchodzącymi nas w zagadnieniami.

Przede wszystkim wiara w możliwość dotarcia do „rzeczywistych" faktów zaprawiona jest swoistym mistycyzmem filozoficznym, opartym o przeświadczenie, że dostępne nam jest poznanie ujmujące bez reszty całą skomplikowaną strukturę zdarzeń zachodzących w świecie zewnętrznym. Jest to oczywiste złudzenie, gdyż poznanie naukowe określone jest zawsze konkretnym stanem wiedzy w danej epoce i dlatego z natury swojej prowizoryczne, zagrożone stale zakwestionowaniem w związku z nowymi odkryciami i wynalazkami. Uwzględnić tu należy również kwestię temperamentu artysty i typu jego wyobraźni, gdyż te czynniki zniekształcają w sposób charakterystyczny dla każdej poszczególnej jednostki obraz świata zewnętrznego i tym samym deformują artystyczną reprodukcję jego w dziele. Jest również wewnętrzna sprzeczność w zestawieniu ze sobą ideału bezwzględnej wierności wobec faktów z uznaniem gazety za wzór nowej literatury. „Wierność wobec faktów" wymagałaby przedstawiania ich możliwie najbardziej rzeczowego z pominięciem wszystkiego, co byłoby naprowadzaniem czytelnika na zajęcie jakiejś określonej postawy wobec faktów. Czytelnikowi powinno się dawać wyłącznie materiał faktyczny, z którego sam powinien wyciągać wnioski. Realizacja takiego pomysłu jest niemożliwa, gdyż tak pisać niepodobna. Reportaż musi być przecież też jakoś literacko zorganizowany, a niepodobna w tym wypadku uniknąć akcentów sympatii i antypatii, naświetlania faktów przez szersze omawianie jednych i bagatelizowanie innych i tp. Zupełnie niedorzecznie wygląda zestawienie ideału pisarskiej wierności wobec faktu z gazetą jako wzorem literackim. Bo przecież zadaniem gazety jest nie tylko „informacja" ale i „propaganda". A trudno mówić o „obiektywnej, zgodnej z faktami" propagandzie. Propaganda bywa często fałszowaniem rzeczywistości w imię jakichś zazwyczaj dość wątpliwych założeń ideologicznych i w imię na ogół jeszcze bardziej wątpliwych interesów jakiejś kliki, partii, przedsiębiorstwa wydawniczego it.p.

Teoria „literatury faktu" oglądana z bliska przedstawia się jako wezwanie do uprawiania propagandyzmu, którego normą może być życzliwa lub nieżyczliwa opinia biurokracji państwowej, która taką propagandę albo uzna za zgodną ze swymi interesami i nazwie „bezstronnym i cennym informowaniem czytelnika" lub też dopatrzy się w niej „niebezpiecznej akcji wywrotowej" i uzna za właściwe zamknąć jej reprezentantów w kryminale. W każdym bądź razie pewne jest, że reportaż traktowany jako narzędzie konkretnej propagandy „państwowo-twórczej" czy też „antypaństwowej" stałby się rychło rodzajem literackim równie nieznośnym jak „powieść z tezą", książka „dla ludu", „umoralniająca" powieść dla młodzieży.

Nie wydaje się również, by właściwe było formowanie reportażu w pseudo-powieść, pseudo-essay, pseudo-pamiętnik, gdyż w ten sposób powstaje twór chimeryczny, ważny jedynie jako świadectwo niewystarczalności popularnych dotychczas rodzajów literackich, ale sam przez się nie otwierający możliwości powstania rodzajów nowych. Chwaląc jakiś reportaż mówi się zazwyczaj o „zgromadzeniu dużej ilości interesujących faktów" o „bystrości obserwacji", a kończy się wzmianka na temat „pięknego stylu", „żywego i barwnego języka" i tp. Jedno od Sasa, drugie od lasa.

Droga do rozwoju reportażu jako nowego samoistnego rodzaju literackiego nie prowadzi ani przez „literaturę faktu" ani też przez zaspakajanie w sposób literacko możliwie najpoprawniejszy czysto snobistycznych upodobań czytelnika mieszczańskiego do egzotyki dalekich krajów, badań naukowych, życia codziennego innych grup społecznych i t.p.

Sam fakt, że reportaż rozwija się jednocześnie w odrębnych środowiskach i że, aczkolwiek jego funkcja społeczna jest w różnych wypadkach zupełnie odmienna, cieszy się on mimo to dużą poczytnością, świadczy, że odpwiada on jakimś potrzebom bardziej podstawowym, niż te, o których mówiliśmy dotychczas. Powyżej chodziło o **warunki** ułatwiające rozwój reportażu i określające jego różne odmiany, teraz należy sięgnąć do **przyczyn,** którym zawdzięczamy powstanie tego nowego rodzaju literackiego.

Tym głównym czynnikiem zjawienia się reportażu na widowni literackiej jest małe rozpowszechnianie się światopoglądu naukowego. Nauka odgrywa w życiu współczesnej ludzkości rolę zbyt doniosłą, by z jej znaczenia nie zdawał sobie sprawy nawet bardzo przeciętny śmiertelnik. Stąd ambicja myślenia naukowego, ambicja często sprowadzana na manowce troskami o pomyślność własną, własnej grupy społecznej, politycznej czy wyznaniowej, własnego narodu, ale tym nie mniej żywa i w mniejszym czy większym stopniu wywierająca stały wpływ na życie umysłowe człowieka współczesnego.

Przedstawiliśmy powyżej zniekształcenia tej zasadniczej linii rozwojowej nowego pisarstwa i pokazaliśmy zasadnicze przyczyny owych zniekształceń. Tym niemniej dla każdego bystrzejszego obserwatora niezaprzeczalną jest zasadnicza jedność nurtu pisarstwa reportażowego, chociaż nurt ten rozszczepia się na kilka bardzo z pozoru różniących się między sobą strumieni. I właśnie ta jedność jest dla nas sprawą zasadniczą, a nie zewnętrzne różnice poszczególnych odmian reportażu.

Czy uda się ostatecznie skierować wszystkie owe poszczególne nurty w jedno łożysko? Odpowiedź na to pytanie musiałaby być zabawą w proroctwa. Możemy co najwyżej określić warunki, przy powstaniu których będzie to możliwe. A więc: niewątpliwie reportaż mógłby się ukształtować w konkretny rodzaj literacki o dużym znaczeniu, gdyby warunki życia całej ludzkości stały się mniej więcej jednolite w wyniku jakichś przeobrażeń politycznych i gospodarczych. Taka możliwość jest jednak w bliskim czasie mało prawdopodobna. Bardziej uzasadnione wydaje się przypuszczenie, że stały rozwój światopoglądu naukowego i jego bezustanne rozprzestrzenianie się w różnych środowiskach będą wywoływać pewne przemiany w pisarstwie reportażowym, odrywając je coraz bardziej od tradycyjnych rodzajów literackich i kierując na tory zdecydowanie odmienne.

Poszukując możliwości rozwojowych jakiegoś rodzaju literackiego, trzeba przede wszystkim określić te jego cechy, które wyodrębniają go spośród innych rodzajów. W wypadku reportażu będą nimi: aktualność, przeniesienie punktu zainteresowania z „jak" na „co": ze sprawy literackiej obróbki materiału na dane faktyczne, zaspakajanie zainteresowań raczej intelektualnych niż estetycznych (szacunek dla ujęcia fachowego). Jest to niby bardzo mało, ale dokładniejsze zastanowienie się nad znaczeniem tych cech charakterystycznych reportażu pozwoli nam zorientować się w jego możliwościach rozwojowych.

Literatura nie nadąża za życiem bieżącym. Jest to zupełnie zrozumiałe. Mickiewicz, choć zżymał się na literatów czekających „aż przedmiot świeży jak figa się ucukruje, jak tytoń uleży", sam pisał III część „Dziadów" nie bezpośrednio po pobycie w więzieniu, ale dopiero w szereg lat później. Przerodzanie się materiału przeżyć w wizję artystyczną wymaga czasu, wymaga wywikłania się autora z bezpośrednich związków życiowych z jego materiałem, selekcji przeżyć i wrażeń, zdobycia psychicznego dystansu do swego tematu. I reportażysta nie może pisać „na gorąco", „pod wrażeniem", bo popisałby głupstwa. Ale musi on swoją robotę zaczynać właśnie od **organizowania sobie dystansu do swego tematu,** koncepcja myślowa utworu musi u niego być wcześniejsza niż bezpośrednie zetknięcie się z materiałem. Co to znaczy? Po prostu tyle, że reportażysta, podobnie jak i czytelnik reportażu, musi mieć nastawienie do swego tematu raczej intelektualne niż emocjonalne. Wynika z tego, że reportażysta musi być fachowcem w jakiejś określonej dziedzinie wiedzy, a przynajmniej jego wiadomości w tym zakresie powinny dorównywać wiedzy fachowca. Jest to konieczne, by nie ulec naciskowi faktów, nie stać się prostym sprawozdawcą, ale wybierać i dobierać fakty z punktu widzenia przydatności ich do zagadnienia, z którym autor pragnie zapoznać czytelnika. W reportażu, tak jak i w każdym innym rodzaju literackim, najważniejsza jest koncepcja a nie fakty. Różnica polega na tym, że „normalny" literat ma prawo tak naginać i przetwarzać fakty, żeby mu one pasowały do koncepcji, reportażysta musi dbać o zachowanie pełnego szacunku dla faktów, może je tylko dobierać i segregować ze względu na ich ważność dla przyjętej przez siebie koncepcji, ale nie może ich dowolnie zniekształcać.

Cały czas mówimy tu oczywiście o koncepcjach naukowych, a nie tzw. „ideologicznych", których zazwyczaj stopień ścisłości naukowej jest niezbyt wysoki. Rysem charakterystycznym koncepcji „ideologicznych" jest prócz tego bardzo często mieszanie sądów poznawczych z sądami wartościującymi, lub podsuwanie tych ostatnich w różnych chytrych przebraniach. Z punktu widzenia światopoglądu naukowego obowiązuje wobec tego rodzaju koncepcji jak najdalej posunięta ostrożność.

Chodzić nam bowiem powinno o organizowanie myślenia u odbiorcy, a nie o zahypnotyzowanie go sprytnie dobranymi sofizmatami. Światopogląd naukowy powinien odcisnąć swoje piętno nie tylko na metodzie pracy, ale i na etyce pisarskiej.

Powieściopisarz może dawać przekrój „całego" życia, reportażysta musi się ograniczyć do wybranego odcinka i patrzeć na niego ze ściśle określonej perspektywy. Dywagacje moralistyczne czy socjologiczne są wyraźnie szpecącymi i deformującymi całość wtrętami w reportażu pisanym przez — dajmy na to — przyrodnika w celu zapoznania czytelników z jakimiś osobliwościami świata zwierzęcego czy roślinnego. Pod względem konstrukcji formalnej i jednolitości tematycznej reportaż musi zadowolić wymagania daleko surowsze niż te, z jakimi ma do czynienia np. powieść współczesna.

Reportaż jest rodzajem, do którego rozwoju przyczynia się stałe rozszerzanie się światopoglądu naukowego, wpajającego w nas coraz więcej szacunku dla świata zewnętrznego i zachodzących w nim procesów, kierującego naszą myśl raczej na zewnątrz niż „w głąb" naszej osobowości. Drugim uwarunkowaniem reportażu jest stały wzrost znaczenia organizacji i instytucji w naszym życiu, co powoduje zainteresowania, za jakimi nie mogą nadążyć rodzaje literackie przystosowane zasadniczo do rozważania perypetii jednostek i przeznaczone dla odbiorcy z określonego środowiska. Gorączka „awangardowa", która trwa stale w literaturze europejskiej od zarania naszego stulecia, do granic nonsensu posuwające się „eksperymenty" literackie to bezustanne próby wybrnięcia z impasu, w jakim znalazła się literatura dawnego typu. Próby te mogą zmienić poważnie powieść, literaturę dramatyczną, lirykę, ale będzie to zawsze **przystosowywanie** czegoś, co istniało od dawna, do czegoś zupełnie nowego, do nowych form życia ludzkiego i nowych treści kształtujących to życie.

Reportaż będąc próbą artysty spojrzenia na świat przez okulary nie wzruszeniowca, wrażliwca, ale raczej naukowego obserwatora, przesuwający zainteresowania z literackiej obróbki faktów na same fakty, organizujący stosunek czytelnika do aktualnie dziejącej się rzeczywistości — ma szanse stać się preformą nowej literatury, bardziej przystosowanej do życia naszej epoki niż literatura ukształtowana w okresach minionych.

Ponieważ jednak reportaż jest rodzajem dopiero dojrzewającym, kształtującym się, nie należy ani przeceniać jego roli w bieżącym życiu literackim, ani też wiązać jego rozwoju z realizowaniem jakichś pozaliterackich postulatów ideologicznych. Należy natomiast troszczyć się o jego rozwój oraz wyławiać i poddawać dyskusji publicznej wszystkie zagadnienia, które mogą przyczynić się do konkretniejszego sformułowania poetyki normatywnej tego rodzaju literackiego.

Ignacy Kruk

Ludowładztwo w samorządzie

Zagadnienie samorządu w budowie nowoczesnego państwa jest zagadnieniem niezmiernie ważnym, możnaby nawet powiedzieć, zagadnieniem naczelnym. Skomplikowana struktura państwa, splot przeróżnych interesów, powiązanie społecznych, gospodarczych, kulturalnych dziedzin życia, konieczność uaktywnienia najszerszych mas w pracy, to główne przesłanki powołania i tworzenia samorządu. Dochodzi do tego konieczność stałej kontroli czynników wykonawczych ze strony społeczeństwa, oraz przerzucenie części prac wykonawczych z organów rządowych na społeczne.

Początków samorządu należy szukać w czasach bardzo odległych, przy czym samorząd ten stopniowo wykształcony obejmować zaczął coraz to szersze i większe zagadnienia. Lecz w miarę jego narastania powstawały też konflikty między samorządem a rządem, między zdobyczami szerokich rzesz społeczeństwa a centralnym organem władzy państwowej. Powstawały spory o kompetencje, często przeradzające się w długotrwałe walki, kończące się bądź kompromisem, bądź uszczupleniem zakresu i kompetencji samorządu.

Rozkwit i powstanie organizacji samorządowych przypada na wiek 19-ty i złączone są ściśle z walkami i zwycięstwami klas pracujących. Sukcesy demokratyzacji społeczeństw i państw musiały się rzecz prosta odbić na budowie ich życia polityczno-społecznego a więc także na ustrojowej formie bytowania.

Wraz z ogólną tendencją do rozwoju życia samorządowego w Europie, szedł i naród polski, budując swój samorząd w ramach tych możliwości, które przypadały mu w udziale jako mniejszości narodowej, istniejącej w granicach państw zaborczych. Zarówno w carskiej Rosji, cesarskich Niemczech i Austrii z uwagi na monarchiczne ustroje a także na wrogie nastawienie do polskości, to co Polacy otrzymali było nędzną namiastką samorządu, jakimiś okrawkami tego, czym posługiwali się uprzywilejowani, bądź czym cieszyły się społeczeństwa demokratyczne w krajach zachodnich.

W okresie tym uzasadniona nienawiść do zaborczych władz państwowych wyrobiła w społeczeństwie polskim fałszywą tradycję, przeceniania samorządu, niedoceniania państwa. Nabrało nie małej siły szczególnie w galicyjskim Ruchu Ludowym przekonanie, że funkcje państwa zastąpić można w zupełności omnipotencją samorządu. Ten pogląd narastał wraz z dążnościami emancypacyjnymi warstwy chłopskiej: ludowładztwo rozumiano jako spontaniczną akcję zrzeszeń wyłanianych dobrowolnie przez samo społeczeństwo. Im bardziej ograniczali zaborcy możliwości samorządu narodowego, tym silniejsze rodziło się do niego przywiązanie. Im węższe (na najniższych stopniach) było życie samorządowe, tym mniej widziano poważnych trudności i niebezpieczeństw, związanych z jego pełnym rozwojem.

Na najniższych szczeblach organizacji samorządowej czynnikiem decydującym była dobrowolność i wartość ludzkich charakterów, mniej ważne kwalifikacje zawodowe.

Nie spostrzegano przy tym, że nawet w tym zakresie dobrowolności szły w pomoc sankcje prawne państwa. Bo dobra wola dobrą wolą, ale odpowiedzialność za pełnienie funkcji w samorządzie musi mieć takie same oparcie o egzekutywę państwa, jak funkcje w jego własnym aparacie.

Samorząd wydzierał od państwa swoje skąpe prawa, ale jego prawa o tyle właśnie były ważne, o ile były równocześnie prawem państwa, zdefiniowanym chociażby negatywnie: jako zrzeczenie ze strony państwa i jako odtąd rzecz opieki i obrony ze strony państwa.

Polska w latach 1918—1939 przechodziła „kryzys samorządowy" dwukrotnie: pierwszy na początku formowania się państwa, drugi od r. 1933 w duchu konstytucji z 1935 r., kiedy pojawiły się nowe ustawy samorządowe. Nie chcemy na tym miejscu przeprowadzać szczegółowej analizy ustaw samorządowych w przedwrześniowej Polsce, ani porównań z innymi analogicznymi ustawami. Są to rzeczy naogół znane tym wszystkim, którzy zetknęli się z nimi czy to w bezpośredniej pracy, czy też przy techno-poznawczym badaniu ich treści.

Stwierdzić można jednak z całym naciskiem, że zarówno konstytucja z 1935 roku a także ustawa samorządowa, nakładała takie obręcze i kagańce na samorząd, że stwarzała jakąś parodię samorządową.

*

Nowa polska rzeczywistość, która wykuła się w mrokach nocy okupacyjnej, stając przed budową nowych zrębów państwowych, nie mogła oczywiście ominąć tak doniosłego czynnika życia narodu, jak samorząd. Już w pierwszym akcie prawnym — manifeście Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego, wydanym 22 lipca 1944 r., a więc wtedy, gdy jedynie skrawek ziemi polskiej wolny był od hitlerowskiego najeźdźcy, określone zostały zasadnicze ramy organizacyjne mającego powstać samorządu. Myśli zawarte w manifeście, w szerokich rzutach wytyczające kierunek rozwoju nowej Polski, odrazu uwzględniały w jej budowie powstanie samorządu jako *głównego czynnika*, na którym wspierać się miało życie całego państwa. Zgodnie z demokratycznymi hasłami, którymi manifest zapoczątkował nowe życie, powołane zostały do współpracy wszystkie demokratyczne żywioły społeczeństwa polskiego.

Odnośny ustęp manifestu brzmi:

„P. K. W. N. sprawuje władzę poprzez Wojewódzkie, Powiatowe, Miejskie i Gminne Rady Narodowe i przez upełnomocnionych swych przedstawicieli. Tam gdzie Rady Narodowe nie istnieją, demokratyczne organizacje obowiązane są natychmiast powołać je do życia, włączając w ich skład cieszących się zaufaniem ludności Polaków-patriotów niezależnie od ich poglądów politycznych".

W ślad za manifestem, który z natury rzeczy mógł zawierać jedynie ogólne wskazówki i wytyczne, ukazały się komentarze w formie ustaw. Ustawy te stanowią jednak integralną część manifestu, powstały na jego podstawie i stanowią jedynie rozwinięcie i ujęcie w odpowiednie przepisy szczegółowe, jego wskazań. Mówimy tu o ustawie z dnia 11.IX.1944 r. o organizacji i zakresie działania Rad Narodowych. Ustawa ta ujednolicona i skodyfikowana 3-go stycznia 1946 r., stanowi właściwą podstawę do budowy i działalności samorządu. Duch ustawy wypływający z tych samych przesłanek ideowych co manifest, przewiduje rozbudowę samorządu w demokratycznym ujęciu, które jest przeciwstawieniem ujęcia samorządu, zarówno w ustrojach kapitalistycznych, jak też i tworach faszystowskich. Ideą przewodnią jest umożliwienie najszerszym warstwom ludu prawa inicjatywy ustawodawczej i kontroli poprzez budowę i działanie Rad Narodowych na wszystkich szczeblach. Ustawa bowiem przewiduje: —

„jako organy planowania działalności publicznej oraz kontroli nad rządowymi i samorządowymi organami wykonawczymi, działają gminne, miejskie, powiatowe i wojewódzkie Rady Narodowe".

Wskład Rad Narodowych zgodnie z ustawą, winni wchodzić przedstawiciele (delegaci) robotniczych i pracowniczych związków zawodowych — organizacji i zrzeszeń zawodowych inteligencji pracującej — organizacyj rzemieślniczych, rolniczych, central i związków spółdzielczych, zrzeszeń przemysłowych, instytucji kulturalnych i oświatowych, stowarzyszeń opieki społecznej oraz organizacji młodzieżowych.

Ponieważ ustawa przewiduje, że prezydium każdej Rady Narodowej wyższego stopnia sprawdza w granicach swojej właściwości terytorialnej prawidłowość działania Rad Narodowych niższych stopni, te ostatnie wysyłają swoich delegatów do Rad wyższych szczebli. Ma to na celu usprawnienie i zachowanie zarówno ciągłej jak i harmonijnej współpracy.

Punkt ciężkości ustawy leży w określeniu kompetencji i zakresie działalności Rad Narodowych w terenie. Zakres ten jest bardzo szeroki i obejmuje:

1) planowanie działalności publicznej, a w szczególności ustalanie budżetu oraz planu świadczeń w naturze,

2) kontrola działalności organów wykonawczych (rządowych i samorządowych) oraz instytucji i osób wykonywujących funkcje zlecone w zakresie administracji i gospodarki publicznej z punktu widzenia legalności, celowości i zgodności z zasadniczą linią działalności Krajowej Rady Narodowej,

3) powoływanie samorządowych organów wykonawczych,

4) Ustalanie zasad i warunków, na których organy wykonawcze samorządu mogą zawierać umowy w sprawie zaciągnięcia pożyczki, zbycia, zamiany lub obciążenia majątku nieruchomego,

5) uchwalenie regulaminów obrad rady i komisji.

*

Pobieżny rzut oka na przytoczone wytyczne działalności wskazuje na ogromny i wszechstronny zasięg instrumentu samorządowego w postaci Rad. Praktycznie rzecz biorąc, inicjatywa i prawo planowania, oraz ustalania budżetu sprowadza się do istotnego kierowania życiem przez samorząd na terenach — od gminy do województwa. Ustawodawca upośażył rady we władzę kontrolną, nie tylko zresztą organów wykonawczych samorządowych, co byłoby zrozumiałe, ale także rządowych oraz tych wszystkich instytucji i osób, które wykonywują funkcje specjalnie zlecone. Sama kontrola pojęta jest również szeroko i nie zamyka się w ramach formalno-prawnych czy budżetowych.

Niezmiernie doniosłym postanowieniem jest kwestia powoływania samorządowych organów wykonawczych i państwowych (wójt, starosta, wojewoda), a więc doboru takich ludzi, którzy zarówno z punktu widzenia fachowego jak i ideowo-społecznego najbardziej się do pracy samorządowej (i państwowej) nadają, rozstrzygnięcia w duchu cedowania tego prawa na Rady. Również dla Rad została zarezerwowane prawo ustalania warunków i zasad w sprawie zawierania umów między organami wykonawczymi samorządu a osobami czy instytucjami postronnymi, przez co zagwarantowane zostały możliwości wglądu każdorazowego do czynności organów wykonawczych. Wreszcie Rady mają prawo uchwalania regulaminów dla obrad własnych, jak i poszczególnych komisji, które Rada wyłania dla stałych lub doraźnych celów.

Tak wyglądają w ogólnych zarysach postanowienia manifestu lipcowego i wypływającej z niego ustawy odnośnie budowy i ram działalności samorządu, Polski Demokratycznej.

W oświetleniu tym nabierają pełnych rumieńców życia dalsze przepisy, które powstały jako pochodne od zasadniczych haseł.

Specjalne znaczenie przywiązywać należy do samorządu miast i wsi, tych dwu biegunów najbardziej dla samorządu typowych, a przez dawniejsze ustawy najbardziej skrępowanych. Pomijając miasta, wieś polska wchodzi na jasną i szeroką drogę rozwoju, który jej gwarantuje ustawa. Po przeprowadzeniu reformy, kiedy z zarządu gminy czy powiatu znikł dwór i obszarnik, którego interesy były rozbieżne ze wsią, a który dzięki ustrojowi zawsze potrafił nagiąć i przeprowadzić swoje postulaty z krzywdą chłopów, całkowity i decydujący głos w samorządzie wiejskim zyskał chłop, jako właściwy gospodarz.

*

Ustawa samorządowa nowej Polski nie może być rozpatrywana w oderwaniu. Stanowi ona bowiem logiczną i ideową całość ze wszystkimi innymi ustawami, zawartymi jako wytyczne w Manifeście Lipcowym. Jest ona ogniwem łańcucha reform, który objął nasze życie, reform dawno oczekiwanych, przebudowujących Państwo Polskie w duchu postępu i demokracji. Niemożliwym bowiem jest, że *kiedy chłopi i robotnicy objęli rządy w państwie, aby samorząd pozostał w rękach wrogich.*

Manifest Lipcowy został wyniesiony na fali najśmielszych marzeń i najdalej idących żądań mas ludowych. Zwala on ustrój państwa krępującego ludowładztwo, a tym samym samorząd i strukturę nowego państwa buduje całkowicie na ludowładztwie. Nie ma tu więc mowy o „przywilejach" dla samorządu, o „ustępstwach" ze strony państwa.

Układ jest zgoła inny. Powstaje po prostu państwo *samorządne.*

Samorząd kiedyś był jedną z tych, acz skromnych, ale realnych sił, która biła się o ustrój ludowy. To był jego główny cel społeczny.

Zawdzięczał ustrojowi liberalnemu prawo do istnienia, ale ten sam ustrój zezwalając na stowarzyszenia i zmowy dobrowolne, wytworzył równoległe również społeczne organizacje, jak spółki, towarzystwa akcyjne, kartele i trusty. W samorządzie nie jest więc ważny sam fakt niezależnej inicjatywy społecznej, ale w tej inicjatywie społecznej *demokratyczna dążność i kontrola ludowa.*

Manifest Lipcowy stwarza dwie sytuacje: przebudowuje ustrój państwa na zgodny z wolą i potrzebami mas pracujących i w jego aparturę wprowadza przedstawicieli tych mas.

To więc, o co chodziło najszerszym warstwom, kiedy przeciwstawiały swą wolę wrogiemu ich ustrojowi państwa, zostało osiągnięte. Największy samorząd mas ludowych, do którego nie miały dotąd dostępu, został im oddany, zdobyły go — zdobyły sam najwyższy *aparat państwa.*

Ale w rewolucyjnych przemianach ostrożność musi być długo jeszcze zachowana. Wiemy, że przecież na majątkach, które zostały wydzielone jako ośrodki elitarne dla podniesienia wydajności chłopskiej produkcji rolnej, administrują byli ziemianie i faktem jest, że po półtora roku zamiast przynosić dochód, inwestowane są w dalszym ciągu sumą aż 2 miliardów zł. Co to znaczy? Znaczy to, że nowy ustrój posługiwać się musi jeszcze w pierwszym okresie ludźmi starego porządku. I ich ilość i nastawienie wciąż jeszcze grozi aparatowi państwowemu.

Nowy ustrój stworzyła wola i zwycięstwo klas pracujących. Nowe państwo jest ich dziełem i wymaga ich czujności i kontroli nie w dawnym znaczeniu śledzenia nienawistnego aparatu, podchwytywania każdej możliwości, aby mu zadać cios albo żeby uniknąć ciosu, który on im wymierza. Teraz idzie o co innego, teraz masy ludowe mają pilnować, aby ten rozstrzygający o życiu narodu aparat nie wymknął im się z ręki, aby w okresie początkowym państwo swoją mocą jak najspieszniej i jak najskuteczniej umocniło ludowładztwo.

W tym znaczeniu samorząd dziś — to *społeczne wzmacnianie państwa demokratycznego,* to jego *obrona przed siłami kontrrewolucyjnymi.*

W tym znaczeniu samorząd to przeciwnik i konkurent tych wszystkich prywatnych i zrzeszeniowych działań, na które państwo demokratyczne formalnie zezwala, a które jak owe spółki, jak towarzystwa akcyjne i bractwa dziwnego nabożeństwa, uderzają w nowy ludowy ustrój.

W tym znaczeniu samorząd jest szkołą życia publicznego najszerszych warstw, przyspieszającą ich dojrzałość społeczną i udolność tak potrzebną do zastąpienia tej sztuki panowania społecznego, jaką posiadają setki tysięcy ludzi starego pasożytniczego ustroju, sztuką samorządzenia się świata pracy.

W OSTATNIM 27—28 (55—56) NR „WSI" Z DN. 22 LIPCA 1946 R.:

Józef Łosin — **Dni odrodzenia;** Tadeusz Papier — **Prawda;** Stanisław Turczyn — **Grudka krwi;** Piotr Chmura — **Po Głosowaniu Ludowym;** Jakub Kania — **W 25-lecie Powstania Śląskiego;** Józef Brojan — **Bakunin o Polsce;** Stanisław Piętak — **Dzielenie ziemi;** Wanda Ewa Brzeska — **Podpłomyk Geni Malowaniec;** Zygmunt Kałużyński — **„Nowa Naprawa" Antoniego Olchy;** Zbigniew Stolarek — **U Tryczów;** Jan Aleksander Król — **Agraryzm od strony liberalizmu (I').** Lucjan Malicki — **W radomszczańskich wsiach;** Stanisław Stefan Gębala — **Wspomnienie;** Józef Kapuściński — **Jantek z Bugaja — poeta chłopek;** Władysław Dunarowski — **Walka o dzieciństwo;** Grzegorz Timofiejew Wieczór. **Próg;** Adam Polańczyk — **Pierwszy i drugi Grunwald;** m. d. — **„Ziemia";** Antoni Piper — **Z ostatnich dni okupacji niemieckiej;** a. p. — **Echa wypadków kieleckich** oraz ogłoszenia. 12 stron.

Józef Bieniek

Reportaż literacki

Z krainy Smętka...

Malbork — lipiec 1946.

Z Tczewa promem dostaję się na drugi brzeg Wisły. Po kwadransie jazdy autem wspaniałą asfaltową szosą Berlin — Królewiec wpadamy między zwęglone trupy domów Marienburga — Malborku. Miasto zniszczone bardzo. Historyczny zamek krzyżacki, olbrzym, jeden z największych w Europie, w najładniejszych swych partiach leży w gruzach. Tu bowiem do ostatnich godzin wojny trwały zacięte walki. Już Berlin padł, a w twierdzy Malborskiej jeszcze garstka junkrów pruskich stawiała zaciekły opór.

Niesamowite wrażenie sprawiają ruiny potężnego kolosa, a zwłaszcza kaplicy zamkowej, z której po przez rozwalony strop widać wystający z gruzów olbrzymi krucyfiks z Chrystusem, na tle ścian zdobnych w freski herbów i emblematów krzyżackich, oraz postaci Wielkich Mistrzów i sławnych komturów potężnego ongiś zakonu. Przejechałem Mazursko-Warmijską ziemię od Malborka przez Elbląg, Pasłek i Morąg do Olsztyna, od Olsztyna przez Szczytno, Jansbork, Orzysz do Ełku, a z Ełku przez Raztenbork i Licbork do Bramowa, najdalej ku północy wysuniętego powiatu nowej Polski. Trasa wiodła przez główne arterie i skupiska, jak i przez ciche, zapomniane kąty na krańcach tej ziemi, skąd, jak tu mówią, diabeł uciekł, tak mu się znudziło.

*

Istotnie nie ma tu już diabła — Smętka, tak jak nie ma „Ostpreussen". Dnia 9 maja 1945 roku skończyły się z ostatnim strzałem w twierdzy-Malborskiej Prusy Wschodnie, a miejsce Smętka zajął smutek wiejący z rozwalonych pięścią wojny miast, z pustych wsi i od pól niezaoranych, porosłych ostami i trawskiem, lub, jak w okolicy Elbląga, zalanych na przestrzeni wielu kilometrów wodą.

Wszystkie niemal miasta i miasteczka na Warmii i Mazurach ucierpiały wskutek działań wojennych ogromnie. Ale tak śmiercią człowieka, jak i klęską jego dzieł nie zwykło się życie przejmować. Oto na grobach wyrosła świeża zieleń, a na zgliszczach zasiewa nowy człowiek ziarno, tworząc nowy ład i plon.

Już dziś taki np. Olsztyn tętni życiem nie mniej ruchliwym od Katowic, będąc tak jak i one przeludniony. W miastach dalszych i mniejszych życie oczywiście cichsze, nurt spokojniejszy a senna atmosfera nadaje im charakter sielankowej prowincji. Codziennie jednak pociągi wyrzucają na dworcach najdalszych nawet miejscowości rzesze poszukiwaczy nowej ojczyzny i ojcowizny. Widać tu ludzi od Wilna i Lwowa, zza Bugu i Sanu, czy nawet z nad dalekiej mglistej Tamizy w kusych i zgrabnych mundurkach angielsko-amerykańskich.

Najistotniejszym wyrazem życia tutejszych miast jest handel. Tysiące sklepów, sklepików, kramów bud, kiosków i rozlatanych, wrzeszczęcych przekupni, oto, charakterystyczny choć gospodarczo nie zupełnie pozytywny obraz takiego Malborku czy Olsztyna. Natomiast wszędzie odczuwa się brak ludzi z prawdziwego zdarzenia: fachowców wszelkich branż, inżynierów nauczycieli, urzędników, samorządowców, pracowników leśnych i rolników, na których czekają olbrzymie połacie ugorów.

*

Ugory ugory i ugory. W pustynię zamienione całe setki żyznej ziemi, oto najbardziej tragiczny problem Mazurskiego kraju. To już nie tylko problem, ale krzywda i nie tylko Mazurskiej ziemi lecz całej Polski. Tu bowiem urodzić się mogło miliony ton zboża i ziemniaków, nie tylko na potrzeby wewnętrzne, ale i na wysyłkę do województw centralnych, południowych, o jałowej, nieurodzajnej glebie. Aprowizacja kraju naszego tu na ziemiach Mazurskich poniosła nieobliczalne szkody.

Ale zagadnienie to bynajmniej do rozwiązania nie jest łatwe. Łączy się bowiem nie tyle z ludźmi ile z brakiem sił pociągowych. Zniszczenia w mazurskim bydłostanie są wprost potworne są największe jakie gdziekolwiek dokonane zostały. Są tu wsie gdzie na 50 gospodarstw zostały 2 — 3 krowy, rzadko jakiś kiepski koń. Dotychczasowe osadnictwo składające się po największej części z bezrolnych wyrobników i robotników rolnych, nie wiele sytuację poprawić mogło. Nie mając nic — nic nie wniosło, poza chęcią do pracy, paroma kurami, prosiakiem lub kozą.

Dlatego to widok ludzi orzących ziemię sobą nie jest rzadkością i dlatego obok zaludnionych po ostatni dom wsi, falują łany... ostu i zielska.

Za bydłem „poszło w dal" tysiące maszyn rolniczych, młocarni, motorów, wiązarek, żniwiarek, siewników i t. p. Wyszabrowano je w 80 proc., nie darując nawet szynom dwutorowej kolei węzła olsztyńskiego.

Zainteresowania czynników oficjalnych i kapitału polskiego popłynęły gremialnie na falach Odry ku Ziemiom Zachodnim. Jest to z wielu względów słuszne i zrozumiałe. W takim samym jednak stopniu niepojętym i niesłusznym jest fakt całkowitego prawie zapomnienia i pominięcia przy podziale inwestycji i kredytów tak państwowych jak i prywatnych Ziem Mazurskich, najbardziej polskich z terenów odzyskanych. Mazury nazywają się w nomenklaturze tutejszej Ziemią **Zapomnianą.**

Nazwa ta w ustach tutejszej ludności brzmi jak najboleśniejszy wyrzut — tyle w niej rozczarowania, goryczy i rozdrażnienia.

Ziemie Mazurskie do najlepszych nie należą, udaje się jednak na nich wszystko, trzeba tylko dużego wkładu sił, wiedzy rolniczej i nawozów. Szczytowe osiągnięcia rolnictwa niemieckiego uczyniły z Prus Wschodnich najważniejszy śpichlerz i magazyn III Rzeszy. Tym samym stać się one powinny i dla Polski.

Poza uprawą roli kwitła tu za czasów niemieckich gospodarka hodowlana. Świadczą o tym dziesiątki kilometrów pastwisk pociętych czworokątami drucianych płotów, między którymi wypasały się stada bydła. Wszędzie tam, gdzie teren podmokły lub zbyt górzysty nie nadawał się dla rolnictwa, widzimy te właśnie hodowlane klatki ogrodzeń.

Wsie tutejsze w porównaniu z wsiami nad Odrą czy Nisą nie są tak pięknie zabudowane, zwarte i bogate, gdyż gros ziem i to najurodzajniejszych, należało do olbrzymich dworów — własności butnych baronów i junkrów pruskich.

Ziemie te obecnie przechodzą w ręce Spółdzielni Osadniczo Parcelacyjnych, celem podziału i zagospodarowania. Istnieją poważne wątpliwości czy system ten „chwyci" i czy zdoła wywiązać się z ogromu zadań. Próbować jednak trzeba, gdyż w tej chwili nie ma innego sposobu wybrnięcia z tej katastrofalnej sytuacji wobec braku budynków, podstawy gospodarki indywidualnej.

*

Ziemia Mazurska woła wielkim głosem o pomoc, pomoc szybką, przemyślaną i w skali jak najszerzej. Najbardziej palącą bolączką jest brak bydła, kredytów na zagospodarowanie się, dużych ilości nawozów sztucznych też w formie kredytów oraz oświaty rolniczej. Jeśli o to ostatnie chodzi, zagadnienie to można rozwiązać na razie przez potworzenie gminnych i rejonowych placówek agronomskich obsadzonych przez autochtonów, znających teren, warunki i systemy nowoczesnej gospodarki stosowanej na ziemiach tych przez Niemców.

Zagadnienie właściwego zagospodarowania tych ziem i doprowadzenia ich do kwitnącego stanu z przed wojny, czego nie udało by się nam dokonać bez pomocy tubylczej ludności polskiej, jest jedną z przyczyn pogłębiających ważność problemu autochtonów. Jest ich na obszarze oddanych Polsce Prus Wschodnich około 100 tysięcy. Kulturalnie i moralnie naród mazursko - warmijski stoi bardzo wysoko, przerastając po wielokroć element osadniczy.

Mimo wieków niewoli i niesłychanie silnej akcji germanizacyjnej, przeprowadzanej bez przerwy i konsekwentnie przy użyciu wszelkich możliwych presyj — ludzie ci, z najwyższego podziwu godnym hartem przetrwali w polskości nie zapominając mowy i obyczaju swego narodu. Niby skarb najdroższy żywili oni w sercach swych obraz Polski, który świecił ich ciężkim dniom, poił męstwem i umacniał do wytrwania. Wierzyli niezłomnie, że Polska przyjdzie i doczekali się.

Lecz wtedy właśnie stała się rzecz tragiczna! Pierwszymi „Polakami" jakich diabeł przyniósł na ziemie tutejsze zaraz po zakończeniu działań wojennych były watahy szabrowników — bandytów i złodziei. Oni to, kradnąc i rabując bez pardonu i litości Polaków Mazurów jako „Niemców" zachwiali w duszach tego tak bardzo wiernego ojczyźnie ludu, wiarę w Polskę.

Tragiczne konflikty pogłębiają zresztą i osadnicy sami przez dziwnie nieludzki, pełen uprzedzeń i niechęci stosunek do autochtonów, węsząc w nich hitlerowców i wrogów, nie chcąc wiedzieć o tym, że wielu z tych ludzi ma dla polskości ziem tutejszych nieocenione zasługi, godne najwyższego uznania i podziwu.

*

W konglomeracie osadniczym reprezentującym najróżnorodniejsze typy ze wszystkich zakątków kraju, najkorzystniej odbijają się chłopi z województw centralnych, Małopolski i Pomorza. Są dość światli, rzutni i przedsiębiorczy. Nie oglądają się na nic i nikogo, gospodarują jak umieją i mogą najlepiej. Rekrutują się ze sfer najuboższych — nie stracili nic a zyskali wszystko. Natomiast repatrianci z terenów wschodnich są tu, poza małymi wyjątkami, elementem najsłabszym. Nic zresztą dziwnego. Gospodarując na tłustych glebach Wołynia czy Podola osiągali przy minimalnym wkładzie sił i kosztów wspaniałe urodzaje. Tu osiągnąć można też to samo, ale po przez bardzo ciężką pracę, staranną i planową uprawę roli, oraz absolutnie inne podejście do ziemi i gospodarki. Nie bez znaczenia jest też stan umysłowo-moralny i duchowy repatriantów wschodnich, ich powracające przy lada okazji nastroje, tęsknoty za powrotem na stare miejsca; nastroje te osłabiają i rozpraszają wolę czynu i chęć budowania się na nowej ojcowiźnie. Ludzie ci muszą nie tylko pogłębiać wiedzę fachową lecz przede wszystkim wyzbyć się marazmu, uwierzyć, że ziemie te na zawsze pozostaną przy nich, muszą się nauczyć je kochać i zapomnieć głębokiego urazu psychicznego jaki odnieśli zmuszeni opuścić ojcowiznę.

*

Krajobrazowo ziemia Mazursko-Warmijska należy bezsprzecznie do najpiękniejszych w całej Polsce. W fałdach zielonych lasów i pól niebieszczą się liczne jeziora, lśniąc w blaskach słońca płatami roztopionego srebra, niby brylanty na pięknej sukni zielonowłosej dziewczyny. Przeczyste powietrze nasiąkłe wonią żywicy i cisza, głęboka cisza lekko dysząca mrocznym poszumem starych borów — nadają okolicom tutejszym charakter niespotykany nigdzie. Tu nad brzegami jezior i w uroczyskach leśnych winny stanąć sanatoria i kolonie wypoczynkowe dla ludności miast, znękanej ciągłą wrzawą, kurzem i gorączką życia.

Ale to daleki śpiew. Na dziś są sprawy pilniejsze. A między nimi kwestia racjonalnego wykorzystania olbrzymich bogactw jezior tutejszych. Ryby z mazurskich jezior znane są szeroko z nadzwyczajnej tłustości i wykwintnego smaku. Specjalnie słyną węgorze, których tu mnóstwo. Z jakąż rozkoszą wynędzniały robotnik czy inteligent pracujący skonsumowałby choć raz na tydzień tłustego bogatego w witaminy węgorza! Miliony ludzi, stołówki, restauracje, jadłodajnie i stoły czekają na polskie konserwy rybne, na rybi szmalec i na wędzonkę z węgorza. Czekają naprożno łykając na cierpliwość słone jak warszawskie bufety a chude niby rasowa angielska miss śledzie... szwedzkie.

I znów rozmawiając z rybakami na węgoborskim jeziorze, przełknąć musiałem nie kawałek węgorza, lecz kanciastą pigułę gorzkiej prawdy:

Po jaką cholerę Polska importuje ze Szwecji kiepskie śledzie, dając jej za to drogocenny węgiel — którego brak odczuwa się w całym kraju kiedy tu u nas i nad morzem dzień na dzień marnuje się tonny ryb z braku odbiorców. Rybacy są wściekli, klną jak szewcy. Dlaczego, po co, kto tu winien. — Zdenerwowani, machają olbrzymimi jak wiosła rękami. Cofam się przezornie w tył łodzi i tłumaczę im, mętnie zresztą, że filozofii polityki nie zgłębi prostaczy umysł łazika takiego jak ja — lub rybaka, jak oni.

Piotr Chmura

„Droga Wiciowa"

Pod takim tytułem wychodzi pismo jednego z zarządów wojewódzkich ZMW. Mimo regionalnego charakteru nie jest ono skazane na prowincjonalną zaściankowość. Skutecznie powinny je od tego uchronić szanse, jakie daje struktura społeczno-kulturalna ośrodka takiego jak Łódź.

Łódź jest dziś naszym największym miastem. W środkowej Polsce stanowi centrum przemysłowe, które po unarodowieniu przemysłu będzie w doświadczaniu przemian społecznych jednym z największych barometrów. Łódź jest już dziś również przodującym ośrodkiem nauki i sztuki.

Wymienione fakty nie pozostały bez wpływu na organizatorów pisma. Jak można wnioskować z wyboru działów i grona autorów koncepcja pisma przedstawia się następująco:

1. Za podstawę przyjęto pracę pośród młodzieży wiejskiej, organizującej się w Koła.
2. Patronat trzymają nadal starzy Wiciarze, ci najszlachetniejsi jak Ignar, Drzewiecki, Inglot.
3. Z ich inspiracji utrzymują się tradycyjne wielkie zadania: „pracować będziemy **dla jedności świata, która przyjść musi"** oraz w metodzie wychowawczej apolityczność: „Aktualność polityczna absolutnie nam nie wystarcza. Pozostajemy niezależną od partii politycznych organizacją — **jedyną prawie tego rodzaju w świecie".**
4. U młodych powtarzają się te same wytyczne, akcent jednak pada na to, **jak** je i **po przez** co zrealizować? „A na tej wsi jest wiciowa młodzież, w której programie leży marsz **do cywilizacji,** marsz do **postępu,** marsz do **kultury".**
5. Pomiędzy starymi Wiciarzami, a młodymi wyrósł nowy stan rzeczy. Pierwsi liczyli się w akcji wychowawczej z metodą **samouctwa,** wypracowywaną na wsi, wyłącznie /w doświadczeniach miejscowych. Młodzi opierać się chcą o środowiska kształcącej się młodzieży wiejskiej, liczą dlatego na gimnazja i Uniwersytety.
6. W ubiegłym okresie szło o sam fakt rozbudzenia życia duchowego młodzieży na wsi. Wydawało się, że wystarczy wzbudzić pragnienie kultury i postępu, a będzie ona już łatwo narastać. Młodzi dokonują rewizji, stwierdzają że młodzież chce kultury, ale czeka na jej określone „porcje" na metody wyboru i opanowywania jej wyższej struktury.
7. Chcą dlatego młodzi powiększyć sztab działaczy oświatowych, działaczy o nabytej poprawnie, uporządkowanej i wyspecjalizowanej wiedzy.

Ambicją ich jest zmobilizować młodzież gimnazjalną i uniwersytecką. Warunki naturalne są po temu szczególnie pomyślne. Gimnazja w Łodzi to nie to samo co w Jędrzejowie czy Tomaszowie.

8. Ci młodzi to nowy narybek studencki chłopskiego pochodzenia. Jeszcze ich wiedza nie pozwala im na śmiałe i pewne analizy naukowe współczesnych procesów społecznych, kulturowych i ekonomicznych, ale już z pozycji, z jakiej startują, widzą rzeczywistość polską i chłopską inaczej, niż ją przedstawiają działacze wiecowi i szlachetna tradycja, pozostawiona przez pionierów-samouków ruchu wiciowego.
9. Właśnie ich narzędzie i siła: wiedza każe im krytycznie oceniać „zabawowy" charakter Kół. Każe im przygotować unaukowione materiały wychowawcze, aby pragnienie postępu młodzieży w terenie zaspokoić właściwymi treściami postępu, aby jej ułatwić drogę do kultury.
10. Już teraz zdają sobie sprawę, że głębsze (naukowe), zrozumienie praw rządzących procesami społecznymi „doprowadzi do tego, że robotnik przestanie być dla nas miejskim łykiem, a my dla niego chamem i wtedy zrozumiemy, że niechęć wsi do miasta i odwrotnie jest wynikiem **zorganizowanej** akcji rządzących dotychczas światem kapitalistów".
11. Jeżeli redakcji pisma uda się wciągnąć do współpracy wychowawczej chłopską młodzież gimnazjalną i uniwersytecką Łodzi, wówczas można oczekiwać wyników wskazujących na nowy etap dróg wiciowych. Młodzież gimnazjalna i uniwersytecka musi pokazać, że jej nauka nie jest zbędnym bagażem w życiu młodo-chłopskim. Musi w jej kategoriach i w jej wynikach postawić problem chłopski. Na tym będzie polegała jej „nowoczesność".
12. Należy spodziewać się, że wówczas i górne zadanie: „jedność świata, która przyjść musi" straci swój naiwny patos. Młodzież naukowo zanalizuje warunki i środki do osiągania porozumień między-narodowych. I wtedy dopiero potrafi z nadmiernych chceń i marzeń przenieść ideę postępu w świat skromnych, ale pewnych i możliwych osiągnięć. Również przekona się (niezależnie od propagandy) czy „apolityczność" („jesteśmy — jedyną prawie tego rodzaju organizacja na świecie") jest mądra i w ogóle możliwa? Czy postęp jest apolityczny i czy o niego nie trzeba walczyć?

Redaktor naczelny: Jan Aleksander Król. **Komitet redakcyjny:** Kałużyński Zygmunt, Morton Józef, Ozga - Michalski Józef, Pietak Stanisław. **Komitet terenowy:** Frasik Józef Andrzej, Nędza - Kubiniec Stanisław.

Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 96, tel. 100-98.

Redakcja rękopisów nie zwraca.

Wydawca: Wydział Wydawniczy Z. S. Chł. i Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik".

Drukarnia Nr. 4 Sp. Wyd. „Czytelnik" — Łódź, ul. Żwirki 2. D—09294